



3

Rok XVI

(792)

CEKA 1.50ZŁ

21. 1. 73

PIOTR JAROSZEWICZ 17 STYCZNIA

PUBLIKOWANY NA STRONIE 3 TEKST PIOTRA JAROSZEWICZA UKAZAŁ SIĘ PO RAZ PIERWSZY W 1949 R. NA ŁAMACH „POLSKI ZBROJNEJ”, W 15 NUMERZE TEGO PISMA. PIOTR JAROSZEWICZ BYŁ WÓWCZAS WICEMINISTREM OBRONY NARODOWEJ.

W OKRESIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ PIOTR JAROSZEWICZ PRZEBYWAŁ W ZSRR. OD 1943 ROKU BYŁ W I ARMII WOJSKA POLSKIEGO, GDZIE PEŁNIŁ FUNKCJĘ ZASTĘPCY DOWÓDCY DO SPRAW POLITYCZNYCH.

W PUBLIKOWANYM NA STRONIE 3 TEKŚCIE PIOTR JAROSZEWICZ OPISUJE OSTATNIE CHWILE PRZED STYCZNIOWĄ OFENSYWĄ ARMII RADZIECKIEJ I WOJSKA POLSKIEGO ORAZ PIERWSZE WRAŻENIA ŻOŁNIERZY WKRAČAJĄCYCH NA WYZWOLONE TERENY.

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

P przed 28 laty — 17 stycznia 1945 roku ruszyła znad Wisły radziecka ofensywa. W dwa dni później wojska radzieckie wyzwoliły Łódź. Hitlerowcy w pośpiechu opuścili miasto. Nie tak szybko jednak, aby swego odejścia nie przypieczętował jeszcze jedną potworną zbrodnią. Pierwsze dni wolności osnuwał dym spalonego więzienia na Radogoszczu.

28 LAT później

To było 28 lat temu. Radość pierwszych dni wolności przerywana była chwilami strachu. A jeśli jeszcze wrócić? Ale na Placu Wolności otoczone tłumem ludzi stały czolgi radzieckie. Grzmot dział szybko przetoczył się na zachód, a wszystkimi drogami ciągnęły bojowe wozy Armii Radzieckiej z wymalowanymi białą farbą napisami: „Za zwycięstwo”, „Na Berlin”. I to już była pewność. Klęska Hitlera stawała się bliska i ostateczna. Trzeba było brać się do odbudowania tego, co zostało się przed bombami, pociskami artyleryjskimi, a przede wszystkim przed zachłanną grabieżą hitlerowców, przed ich obłąkańczym dążeniem do zniszczenia wszystkiego.

Zaczął się czas odbudowy, czas organizacji nowego życia, wędrówki na Zachód po zrąbowane przez Niemców maszyny. Był to czas pierwszych pociągów, pierwszych ton węgla, pierwszych metrów tkanin, pierwszych szpul przędzy — już dla siebie, już we własnych fabrykach, które wtedy uparcie numerowano, aby jak najszybciej pozbyć się dawnych, kapitalistycznych nazw.

Tak było wówczas. A później był Wyścig Pracy — zainicjowany przecież tu w Łodzi — było referendum, walka z bandami, szukanie nowych dróg w państwie, w którym władzę przejęli ludzie pracy. Tak było wówczas. Dziś fakty te i wydarzenia są dla blisko połowy narodu polskiego tylko i wyłącznie faktami z naszej, najnowszej historii. Jakże szybko rzeczywistość, której świadkowie i uczestnicy są jeszcze wśród nas, staje się historią. Ale jest to historia, o której stale trzeba przypominać. Nie tylko dlatego, że leży ona u podstaw naszej współczesności. Również i dlatego, że ludzie powinni pamiętać o grozie wojen, w których życie oddają miliony ludzi, o cenie zwycięstwa, opłaconego przez całą ludzkość.

Każda kolejna rocznica wyzwolenia Łodzi jest dla nas — jej mieszkańców — okazją do spojżenia wstecz, do oceny tego, co zrobiliśmy przez ten czas od chwili, kiedy przyszła wolność. Tak czynią mieszkańcy innych miast Ziemi Łódzkiej, tak czynią

ludzie w całym kraju. Chwalimy się tym, co zrobiliśmy, czego dokonaliśmy wspólnym trudem przez minione lata wolności, przez czas nam dany. Czy zawsze mamy powody tylko do dumy i zadowolenia? Myślę, że dziś, kiedy będziemy dokonywali przeglądu naszego dorobku z 28 lat wolności, powinniśmy przede wszystkim pamiętać o tym, że można zrobić więcej, że stać nas na to, że nie zawsze pracowaliśmy, ze wszystkich sił.

W 28 lat później rozpoczynamy budowanie drugiej Polski, a nie jest to przecież tylko wyraz naszych narodowych ambicji, jest to również i przede wszystkim wynik naszych narodowych potrzeb. W ramach tej drugiej Polski jest też miejsce na drugą Łódź — miasto nowoczesne, w którym będzie się nam dobrze żyło i pracowało, miasto słonecznych osiedli, nowoczesnej architektury, zautomatyzowanych fabryk, dobrze wyposażonych szkół, miasto nauki i kultury. Wizja takiej Łodzi rodzi się w koncepcjach planistów, w pracowniach projektantów, a także na placach budowy. Ale realizacja tej wizji, jej przekształcenie w rzeczywistość będzie zależała od nas wszystkich, od tego, jak będziemy pracowali, z jakimi nowymi inicjatywami potrafimy wystąpić, jak będziemy myśleć o przyszłości i myśl tę wcielać w życie.

Patrząc śmiało w przyszłość nie zapomnijmy jednak o tych, którzy przed 28 laty odeszli od nas, którzy ofiarą swego życia stworzyli nam warunki dla twórczej działalności. Oddawali swoje życie na frontach II wojny światowej i później w obronie tego, co nad Wisłą rodziło się nowe, z myślą o przyszłej, lepszej Polsce, o ojczyźnie dla nas wszystkich, w której nie będzie gorszych i lepszych, w której wszyscy znajdą pracę i dach nad głową. I taką Polskę budujemy. Dlatego, świętując co roku kolejną rocznicę wyzwolenia, czcimy pamięć tych, którym zawdzięczamy naszą współczesność. Jej kształt zależy już tylko od nas samych.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI



Jan Dziewałtowski — Gintowt — „Łódź” (olej).

IWAN KONIEW

MARSZAŁEK ZWIĄZKU RADZIECKIEGO

Pamiętam jak szczegółowo studiował ten plan Stalin. Ze szczególną uwagą rozważał na mapie rejon Śląskiego Zagłębia. Była tu ogromna aglomeracja przedsiębiorstw, kopalń z potężną obudową nadziemną, różnego rodzaju budowli przemysłowych. Wszystko to wzięte razem przedstawiało bardzo poważne przeszkody dla działań manewrowych wojska w czasie natarcia.

Nawet na mapie rozmiar przemysłowego okręgu Śląska i jego potęga wyglądały imponująco. Stalin, jak zrozumiałem, podkreślając tę okoliczność, wskazał palcem na mapę, obrysował ten rejon i powiedział:

— Złoto!

Było to powiedziane w taki sposób, że właściwie nie wymagało dalszych komentarzy.

Dalszy ciąg na str. 5





W stosunkach radziecko-francuskich pojawiła się nowa jakość — nieoficjalne wizyty. Z taką właśnie przez dwa dni przebywał w ZSRR prezydent Francji — G. Pompidou, któremu towarzyszył min. spraw zagranicznych — M. Schumann. Rozmówcami gości byli: L. Breżniew i A. Gromyko, a miejscem spotkania, co m. in. podkreśla nieoficjalny charakter wizyty, Zaslau — miasteczko położone tuż obok Mińska. Sekretarz generalny KC PZPR i prezydent Francji omówili wstępujące problemy międzynarodowe oraz stosunki bilateralne, stwierdzając, że między obu krajami panują stosunki zgody i współpracy. Rozmowy przebiegły w atmosferze więcej niż serdecznej i zakończyły się przyjęciem wspólnego komunikatu, z którego dowiadujemy się o przedmiocie zainteresowania rozmówców.

Szczególną uwagę L. Breżniew i G. Pompidou poświęcili sytuacji w Europie. W kompleksie porozumień wielkiej wagi z zadowoleniem odnotowali również układ między rządami NRD i NRF. Podkreślili, że ich kraje duże znaczenie przywiązują do europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy i dlatego uczynią wszystko, aby konsultacje przygotowawcze w Helsinkach szybko doprowadziły do osiągnięcia ogólnego porozumienia, a konferencja odbyła się w najbliższych miesiącach.

Uczestnicy dwustronnego szczytu wyrazili duże zaniepokojenie kontynuowaniem wojny i obecnej interwencji w Indochinach. Toczące się obecnie w Paryżu rokowania powinny niezwłocznie doprowadzić do politycznego uregulowania konfliktu.

W rozmowach uznano, że droga do całkowitego i powszechnego rozbrojenia, co jest ostatecznym celem wszystkich kroków rozbrojeniowych, prowadzi przede wszystkim przez rozwiązanie problemów rozbrojenia nuklearnego.

Przedmiotem zainteresowania w zaslaukich rozmowach były także stosunki dwustronne, do rozwoju których przywiązuje się szczególną wagę. W myśl podpisanego w Paryżu porozumienia — opracowano już programy w dziedzinie współpracy gospodarczej, technicznej i przemysłowej na lat 10 i w najbliższym czasie zostaną one podpisane.

Prez. Pompidou zaprosił L. Breżniewa do Francji, a zaproszenie to przyjęte zostało z zadowoleniem. Tak więc miejscem kolejnych rozmów na szczycie będzie ziemia francuska.

Dwudniowym rozmowom w Zaslau prasa światowa poświęca wiele miejsca. Komentatorzy podkreślają, że bieżący rok będzie najprawdopodobniej rokiem niezwykle ważnych konferencji, które zdecydują o przyszłości naszego kontynentu. Szczyt Breżniew — Pompidou poprzedził te wydarzenia i pozostaje z nimi w ścisłym związku. UPI pisze nawet, że był to „najważniejszy szczyt w historii starego kontynentu”. Sam Pompidou powiedział o nim: „Mówiono, że ten nowy szczyt powinien dobrze się zakończyć. Zakończył się lepiej niż mówiono”.

* * *

W minionym tygodniu nasza uwaga kierowała się również w inną stronę — do Delhi, gdzie przebywał z oficjalną wizytą premier Piotr Jaroszewicz.

Indie odgrywają w tzw. trzecim świecie dużą rolę polityczną i ekonomiczną. Na wiele problemów międzynarodowych mają zbieżny z nami pogląd, aktywnie opowiadają się w sprawach europejskich. Indie domagały się uznania granicy na Odrze i Nysie i międzynarodowego uznania NRD, widząc celowość europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy. Już na tych przykładach dostrzec można, że neutralizm Indii jest aktywny i zaangażowany.

Nasze stosunki gospodarcze cechuje duża dynamika rozwoju handlu. Fakt, że ok. 20 proc. obrotów Polski z trzecim światem przypada na Indie, ma swoją wymowę. Ale możliwości są jeszcze większe. Indie szybko się uprzemysławiają i przedmiotem naszego handlowego zainteresowania w tym kraju nie są tylko surowce.

W toku rozmów w Delhi podpisano protokół handlowy, zapowiadający podwojenie obrotów towarowych w ciągu trzech najbliższych lat oraz protokół o wymiarach rozmów na temat długofalowej współpracy ekonomiczno-handlowej. Protokół handlowy na lata 1973—75 przewiduje wzrost obrotów do 200 mln dol. i obejmuje wiele dziedzin przemysłowych. Warto zwrócić uwagę, że szeroki jest wachlarz towarów rynkowych, które zamierzamy importować z Indii.

Dokumenty końcowe o rozmowach polsko-indyjskich opublikowane zostaną w chwili, kiedy Członkowie będą już mieli w ręku ten numer „Odgłosów”. Będzie wśród nich wspólna deklaracja o przyjaźni i współpracy między Polską i Indiami. Dorobek rozmów można więc uznać za poważny.

* * *

Skoro już piszemy o wizytach — powiedzmy jeszcze o takiej, która w najbliższym czasie nie dojdzie do skutku. W ostatnich dniach Biały Dom dał do zrozumienia, że planowana wcześniej podróż prez. Nixona do zachodniej Europy nie będzie miała miejsca wiosną br. Co spowodowało zmianę zamierzeń?

Otóż to jest właśnie najciekawsze: według opinii wielu komentatorów odroczenie wizyty następuje wskutek negatywnego stanowiska, jakie niektórzy politycy zachodni zajęli wobec amerykańskiej polityki kontynuowania wojny w Wietnamie. Ten fakt, jak również antyamerykańskie demonstracje, nie stwarzają atmosfery sprzyjającej podróży.

W. SŁAWSKI

ROK TRZECI

Trzeci rok pięcioletki, trzeci rok po Grudniu. Z dumą mówimy o naszej pracy w ciągu dwóch ostatnich lat. Potwierdzają to efekty materialne naszych poczyniń, jak i nie mniej ważne skutki psychologiczne w postaci lepszego samopoczucia Polaków. Jednak nasza największa uwaga skierowana jest w przyszłość. Tę dalszą i zupełnie bliską, jaką jest podjęcie batalii o wygranie roku 1973.

Potwierdza to przebieg krajowej narady aktywu partyjnego i gospodarczego w Warszawie w dniu 8 stycznia. Potwierdza to spotkanie kierownictwa partyjnego i państwowego z przedstawicielami przodujących miast, dzielnic i powiatów, potwierdza to odpowiedź klasy robotniczej na apel kierownictwa o dodatkową produkcję.

Mysł przewodnią krajowej narady najlepiej charakteryzowało hasło nadprezydialnym stołem, słowa wypisane na tle biało-czerwonych i czerwonych sztandarów ABY POLSKA ROSŁA W SIŁĘ A LUDZIE ŻYLI DOSTATNIEJ. Te słowa stały się już czymś znacznie więcej niż hasłem, gdyż na trwałe weszły w krwioobieg społecznej świadomości, stały się wytyczną do działania dla ministra i robotnika, dla działacza partyjnego i naukowca, dla twórcy dóbr kulturalnych i rolnika — dla wszystkich.

Obszerne wystąpienia I sekretarza KC PZPR i premiera, dyskusja, potwierdziły, że mimo już osiągniętych sukcesów stać nas na więcej, że wiemy doskonale, co i jak robić. I musimy to wykonać, a właściwie zrobić więcej niż zakreślono to w trudnym i ambitnym planie na rok 1973. A również usunąć te wszystkie mankamenty, które mimo dobrych wyników całej gospodarki, jeszcze wystąpiły w ub. roku.

„Narada odbyła się w momencie — powiedział Edward Gierek — kiedy najtrudniejsze jeszcze przed nami. Aby osiągnąć ambitne cele, do

których zmierzamy, musimy znacznie przyspieszyć tempo, wydużyć krok, usunąć wszystko co nam jeszcze przeszkadza”.

Premier Jaroszewicz w swoim referacie zwrócił uwagę na te słabości i niedociągnięcia. Należą do nich: brak dyscypliny, o czym świadczy fakt, że codziennie ok. 700 tys. osób jest nieobecnych w pracy. To ogromna strata energii powodująca niepełne wykorzystanie istniejącego już potencjału gospodarczego. Wiąże się z tym również niewykonanie planów przez pewną liczbę przedsiębiorstw. Rok 1973 musi przynieść znaczącą poprawę w gospodarce materiałowej, musimy zwiększyć produkcję surowców i materiałów. O randze problemu może świadczyć zapowiadane na najbliższą przyszłość plenum KC PZPR poświęcone tym problemom. Dalsze kierunki działania to walka o wysoką jakość produktów na rynku wewnętrznym i zagranicznym, ilość i jakość usług, zapewnienie rolnictwu dalszego postępu. Trudne, ale niezbędne dla osiągnięcia zamierzonych celów gospodarczych i społecznych, będzie zrealizowanie zadań inwestycyjnych. W program inwestycyjny jest w br. zaangażowane 390 mld zł i należy wszystko zrobić na rzecz terminowości oddawania obiektów i skracania cyklu inwestycyjnych.

Dwa lata od Grudnia były jakby okresem przygotowawczym, czasem nabierania wielkiego oddechu, przed obecnym wielkim krokiem. Słowa wypowiedziane przez Edwarda Gierka tuż po VII Plenum KC potwierdziły się. Ten okres mamy już za sobą. Teraz wchodzimy w ten aktywny nurt, stajemy do wyścigu z najlepszymi. Stajemy przede wszystkim do wyścigu z czasem. „Musimy się spieszyć — podkreślił to wyraźnie I sekretarz KC PZPR — konieczność tę dyktuje waga problemów, jakie stoją przed Polską i pilność potrzeb, które powinniśmy zaspokoić. Musimy się spieszyć, gdyż

takie jest prawo naszej epoki. Kto nie dotrzyma kroku postępowi społecznemu, naukowemu, technicznemu, cywilizacyjnemu, ten może bezpowrotnie pozostać w tyle”.

* * *

Problemom, które wynikają z realizacji zadań na rok bieżący i zadaniami, jakie w związku z tym stoją przed frontem ideologiczno-propagandowym, poświęcona była ostatnia narada w Komitecie Łódzkim PZPR, prowadzona przez sekretarza KL tow. Jerzego Chabelskiego.

W obszernym wprowadzeniu do dyskusji kierownik Wydziału Propagandy KL tow. Zb. Faliński przedstawił zebranym aktywistom partyjnym, kierownikom prasy, radia i TV, najważniejsze zadania w pracy ideowo-wychowawczej i działalności propagandowej bieżącego roku. W swej wypowiedzi zaakcentował szczególnie wyeksponowanie w działalności propagandowej ideowych treści VI Zjazdu PZPR, oraz ideowe motywacje w ludzkiej działalności, konieczność docierania do najszerzych kręgów społeczeństwa, a przede wszystkim klasy robotniczej, z problemami rozwoju gospodarczego i jego roli w zaspokajaniu potrzeb społecznych; z zagadnieniami polityki inwestycyjnej, racjonalnego zatrudnienia, oszczędnej gospodarki materiałowej itd. W parze z działalnością ideowo-wychowawczą i propagandową musi następować dalsza pogłębiona edukacja ekonomiczna społeczeństwa.

Podsumowując dyskusję sekretarz KL tow. J. Chabelski wskazał na istniejące a jeszcze nie w pełni wykorzystane możliwości podnoszenia poziomu pracy propagandowej, która w całokształcie zadań, których realizację podejmujemy, ma swoją ważną i odpowiedzialną rolę do spełnienia.

J. W.

■ DODATKOWA PRODUKCJA. Do dalszej produkcji zobowiązują się dać w odpowiedzi na apel partii i rządu robotnicy wielu fabryk Łodzi i województwa łódzkiego.

■ ŁÓDŹ OSRODKIEM PRZEMYSŁU MASZYNOWEGO. W Łodzi pracuje 18 przedsiębiorstw przemysłu maszynowego. Udział ich produkcji w całej produkcji przemysłowej miasta stale powiększa się. Obecnie powstają warunki dla dalszego rozwoju przemysłu maszynowego w Łodzi. W najbliższym czasie rozbuduje się „Wilamów”, „Polmo” i „Majed”, a w innych fabrykach tego przemysłu wprowadzi się nowe maszyny i urządzenia. Nie stanie się to jednak samo. Teraz wszystko zależy od załóg tych fabryk, od zespołów kierowniczych, od tego, czy potrafią szybko i właściwie sprecyzować programy rozwoju produkcji i unowocześnienia bazy technicznej i czy potrafią szybko i sprawnie wprowadzić je w życie.

Unowocześnienie łódzkiego przemysłu maszynowego to nie tylko wprowadzenie nowej techniki, to również lepsza dyscyplina pracy, to wyższe kwalifikacje, a także umiejętne wykorzystanie tych wszystkich możliwości, jakimi fabryki te już dysponują i jakimi będą dysponować po modernizacji.

Zadanie przeciw jest proste: produkować nowoczesne wyroby w nowoczesnych warunkach, ale zadania tego nikt nie zrealizuje poza załogami łódzkich fabryk przemysłu maszynowego. A szansę tej nie można zmarnować.

■ ABYŚMY BYLI ZDROWI! Tego sobie wszyscy możemy szczerze życzyć. Same życzenia jednak nie wystarczą, o zdrowie trzeba też dbać, trzeba je pielęgnować. Temu celowi ma służyć Narodowy Fundusz Zdrowia, z zasobów którego będą powstawały szpitale i ośrodki zdrowia. I właśnie dlatego, abyśmy wszyscy byli zdrowi, abyśmy o to zdrowie mogli skutecznie dbać — Prezydium Łódzkiego Komitetu Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia odwołuje się do pięknych i patriotycznych tradycji oraz do ofiarności społeczeństwa Łodzi, apelując „do wszystkich obywateli miasta Łodzi o podjęcie dobrowolnych i powszechnych wplat na Narodowy Fundusz Ochrony Zdrowia”.

■ W KUTNIE obradował niedawno Komitet Powiatowy PZPR. Na posiedzeniu nim wybrano I sekretarza KP PZPR. Został nim dotychczasowy przewodniczący Prezydium PRN w Kutnie — Józef Biedrzycki.

■ CENTRUM ŁÓDZI doczekało się już projektu. Obejmuje ono obszar między ulicami: Kościuski, Główna, Wodna, Tuwima, Kilińskiego i Narutowicza. W tym rejonie stanie Centralny Dom Towarowy oraz kompleks instytucji kultu-

ralnych z galerią sztuki, filharmonia i dwoma kinami. Znajdą się tutaj też 65. środki informacji kulturalnej i handlowej.

■ „WESELE” — barwny film Andrzeja Wajdy według dramatu Stanisława Wyspiańskiego — doczekało się wreszcie premiery. Wiele się o tym filmie mówiło i pisało, a niektórzy prorokowali, że pójdzie na osławione polki, gdzie spożycie już wiele nieudanych filmów. I oto „Wesele” mamy już na ekranach. A wśród wykonawców same aktorskie znakomitości: Maja Komorowska, Emilia Krakowska, Ewa Ziętek, Daniel Olbrychski, Andrzej Lapicki, Czesław Niemcewicz, Mieczysław Vojt, Franciszek Pieczka i Marek Perepeczko.



■ „KPIARZ” po dłuższej przerwie wznowił swoje występy. Nowy program kabaretu reżyserował Mieczysław Sławiński. Teksty dostarczyli: Antoni Marianowicz, Jerzy Afanasjew, Jan Pietrzak, Ryszard Marek Gronski, Andrzej Jarecki, Janusz Koźka, Adam Krecmar. Nie zabrakło wśród nich i autorów łódzkich: Igora Sikiryckiego, Wiesława Machajko i Ryszarda Czubaczynskiego.

■ DNI OLIMPIJSKIE W PABIANICACH. Dni te odbędą się w tym roku w Pabianicach. Rozpoczną się 1 marca 1973 roku. Powołano już komitet organizacyjny. Pabianicze będą gospodarzami ogólnopolskich imprez.

■ NACZELNIKOM POMYSŁOŃSKI życzymy w związku z rozpoczęciem przez nich urzędowania. Ale przy okazji mała refleksja. Oto „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej” podała nazwiska i zawód naczelników w powiecie piotrkowskim. Interesujące to zestawienie. Wśród

dwunastu naczelników jest 4 agronomów, 2 inżynierów rolników, 3 dotychczasowych przewodniczących GRN, 2 pracowników powiatowych rad narodowych i jeden pracownik sądu. A więc kwalifikacje, a także doświadczenie. Przejście z powiatowej rady narodowej do pracy w gminie stało się obecnie a w a n e m. To już wiele mówi o randze i znaczeniu gminy w systemie administracji, o zmianach zachodzących w metodach zarządzania gospodarką wiejską.

■ „CZARY” W PIOTRKOWIE TRYBUNAŁSKIM. Tak nazywało się kino, którego już nie ma. Jak obliczają „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej” w 82-tygodniowym miesiącu jeszcze w 1971 roku było 1421 miejsce w trzech kinach. Obecnie jest ich już 977. W dodatku drugie kino „Hutnik” przeznaczono do likwidacji, gdyż w miejscu, gdzie ono stoi planowane jest w niedalekiej przyszłości arteria komunikacyjna. Czy w zamian za to Piotrków otrzyma nowe kino? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

„Gazeta Ziemi Piotrkowskiej” podjęła batalię o uratowanie secesyjnego budynku, w którym mieściło się kino „Czary” i zachowanie go dla kultury. „Czary” — secesyjny budynek „Czarów” — pisze gazeta — wart jest jeszcze dzisiaj mimo wszystko zdecydowanie więcej i w przeliczeniu na pieniądze, i w przeliczeniu na kulturalną wartość tego obiektu”.

Zyczymy sukcesów w walce o rozwój kultury w Piotrkowie Trybunałskim!

■ ORKIESTRA SYMFONICZNA Z RADOMSKA przeżywa kryzys. Prawdę powiedziawszy nie ma już Międzypowiatowej Orkiestry Symfonicznej w Radomsku, o czym donosi „Gazeta Radomska”, a w jej miejsce powstał zespół kameralny składający się z niedobitków swojej poprzedniczki. I ten zespół lada dzień skończy naturalną śmiercią — rozpadnie się. Czyny się wprawdzie próby uratowania go, ale czy będą skuteczne?

■ OD PRZYBYTKU GŁOWA NIE BOLE — powiedzieli sobie w Łódzkim Klubie Sportowym i zafundowali piłkarzom aż dwa... trenerów. Okazuje się bowiem, że Paweł Kowalski, który do tej pory przygotowywał drużynę — pozostaje, a dodatkowo przychodzi Kazimierz Górski — trener reprezentacji narodowej. Co z tego wyniknie? Poczekaj na rezultaty wiosennej rundy ligowych rozgrywek. Oby było jak najlepiej!

M. RODAK



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji).

Już mijala pierwsza dekada stycznia 1945 roku, ale jeszcze nikt nie wiedział dokładnie, kiedy nastąpi wielka ofensywa Armii Radzieckiej nad Wisłą, ofensywa, która miała przynieść wyzwolenie i dorobek rewolucji lipcowej 1944 r. pozostałym ziemiom Polski. Mimo to jednak każdy żołnierz radziecki i każdy żołnierz naszej I Armii dostrzegał, jak nieustannie koncentrowały się nad Wisłą olbrzymie rezerwy ludzi, sprzętu bojowego itp. Coraz gęściej zaludniały się wioski i lasy bliskiego zaplecza frontu świeżo przybyłymi z głębokich tyłów jednostkami artylerii, lotnictwa i czołgów.

Wielka Armia Wyzwolenicza, a wraz z nią i I Armia szykowały się do nowego potężnego skoku — za Wisłę — do Odry, do Berlina, do Bałtyku, do ostatecznego zwycięstwa nad hitler-

mal co dzień zapadały mgły — świetne mgły — sojusznicy. Żaden lotnik niemiecki nie mógł nie wypaść — do Odry, do Berlina, do Bałtyku, do ostatecznego zwycięstwa nad hitler-

ru, osłonięte gęstą mgłą, ruszyły główne siły I Armii wzdłuż Wisły na południe, na teren powiatu garwolińskiego, by stamtąd, po sforsowaniu Wisły, uderzyć ze skrzydła na Warszawę.

Radosny i niezapomniany to był wymarsz. Rozkaz kategorycznie nakazywał przegrupować wojsko jak najszybciej i jak najciszej — maskując każdy ruch. Trudno jednak było dowódcę wykonać to zadanie. Kolumny szły radośnie gwarząc. Od czasu do czasu zrywał się, tłumiony szybko, zbiorowy, radosny śmiech lub śpiew. Armia ruszyła w wyteśniony od czasów obozu w Sielcach nad Oką — bój o Warszawę, o tę stolicę najdroższą, o której z tęsknotą śpiewali żołnierze na ziemi radzieckiej, o którą walczyli ciężko przez cztery miesiące w „żółtym wiślanym piachu”. Wszystkie braki radosnego marszu wyrównywała zresztą przyroda — mgłą gęstą, zawieszoną, w której tonęły nasze pulki i dywizje.

ly puste okopy. Po drugiej stronie wszędzie ślady walki, płoną liczne ogniska. Są zabici i ranni. Świeże ślady wybuchów artyleryjskich, poszarpane wikliny i drzewa, druty kolczaste, rozbite bunkry i gniazda oporu.

Już na małym odcinku brzegu widać, jak silnie umocnili się Niemcy. Tuż za wałem wiślanym, przy rozbitej na pół chałupie — duże ognisko i krzątanina. To nasi lekarze opatrują rannych. Jest ich sporo — najczęściej ranni od min. Rozmawiam chwilę z rannymi — skarżą się jedynie na to, że pojadą z powrotem na drugi brzeg, że nie będą w Warszawie. Zatrzymujemy się około godziny na łące za wałem. Drogi nie ma — idą nią nasze czołgi, grupy fizylierów oczyszczają drogę i „przechesują” teren, wykańczając rozszarych Niemców.

Nastaje rzadziuchny świt — widać trochę szerzej.

PIOTR JAROSZEWICZ

Polskie Wojsko! Czy będą brać do wojska? Czy jest Polski Rząd w Lublinie? Czy będzie Polska niepodległa — czy pod Rosją? Dziesiątki innych, różnych pytań — nie sposób odpowiedzieć od razu na wszystkie.

Proszę generała Popławskiego, by zgodził się zatrzymać chwilę w Piasecznie, bo chciałbym coś powiedzieć do ludzi.

W ten sposób odbył się pierwszy wiec z Wisłą. Zatrzymujemy czołg. Stajemy razem na czołgu ponad tłumem. Mówię może piętnaście, dwadzieścia minut. Mówię gorąco i szybko. Chciałem wszystko powiedzieć — rozwiać wszystkie wątpliwości. Tłum coraz większy. Płaczą kobiety,

mów. Nasi śniegiem próbują gasić pożar. Wody nigdzie nie ma. Marszałkowska cała w gruzach, zasypała śniegiem, nie do przebycia, pomiędzy gruzami wijąca się wąziutka ścieżka. Na Szuca — zasięki — stoją jakieś rozbite działa, meble, trupy niemieckie, świeże ślady walki. Polna nieco dostępniejsza. Stamtąd nadjeżdża dowódca dywizji z meldunkiem: „Warszawa wolna!” Walki toczą się tylko gdzieś na zachodnich przedmieściach. Likwiduje się drobne grupki Niemców. Drogi odwrótu każe jeszcze raz dokładnie referować sobie sytuację.



zmem. I w I Armii również trwała intensywna, gorączkowa praca. Szkoliliśmy gwałtownie nowych żołnierzy i oficerów, uzupełnialiśmy braki w ludziach, broni i sprzęcie, doprowadziliśmy Armię do pełnej gotowości bojowej.

Często odwiedzałem podówczas jednostki frontowe, zakopane głęboko w wiślanym brzegu. W rozmowach z żołnierzami najczęściej słyszałem niecierpliwie pytanie: „Kiedy pójdziemy na przód?” — „Prędzej by na drugi brzeg — póki lód trzyma” — mówili do mnie żołnierze, kiedy około 10 stycznia odwiedzałem linię frontu w rejonie Karczewia.

A zima była wyjątkowo piękna. Trzymały lekkie, ale stałe mrozy, śniegu nie było za wiele — drogi utarte, pewne. Wieczorami nie-

kich drogach prowadzących ku Wisłę było zazwyczaj rojno i gwarno. Wojska pospiesznie przegrupowywały się. Późnym wieczorem zwykle, aż do rana, słychać było gruchot czołgów i jazgot ciągników, które wtańczyły na wyjściowe pozycje ciężką artylerię.

Krótką była moja rozmowa z dowódcą Armii gen. Popławskim w pamiętnym dniu, gdy nadszedł wreszcie rozkaz bojowy. Nie przypominał mi się jej dokładnie, ale wydaje mi się, że z uśmiechem, ściskając mi mocno rękę, powiedział: „Już jest — idziemy na Warszawę i dalej. Zapoznajcie się z generała Straszewskiego ze szczegółami rozkazu”.

Reszta już była jasna. Wszystko bowiem było gotowe. Tego samego wieczora-

Wieczorem 16 stycznia ruszyły nasze oddziały przez Wisłę na szerokim froncie od Bielan do Pilicy. Nieprzyjacieli zdeorientowani i przerażeni sukcesami Armii Radzieckiej, która rozpoczęła głębokie oskrzydlenie stolicy, miejscami wycofuje się, ale często stawia zacięty opór. Toczą się ostre, zażarte potyczki. Nasi piechurzy gwałtownie prą naprzód. Na szerokim odcinku na południe od Góry Kalwarii I Armia forsuje głównymi siłami Wisłę, jednocześnie z północy, od strony Bielan, na warszawski brzeg wdiera się 2 Dywizja Piechoty.

W nocy z 16 na 17 stycznia 1945 roku Sztab I Armii przekracza Wisłę. Jędziemy willisami po zamrażonej rzece, jak po stole. Na naszym brzegu pozosta-

Wzdłuż brzegu sporo zabitych Niemców. Nasi mówią, że to nie są prawdziwi Niemcy — podobno własowcy czy galicyjscy faszysty z SS, rzeczywicie na kolnierzach zabitych widać znaczki SS — ale to wszystko jedno. Widocznie Niemcy postawili na pierwszą linię doborowe, wierne oddziały — to lepiej, nie ma już ich. Górę Kalwarię mijamy bez postoju. Miasto puste, ludność nie zdążyła powrócić. Przed nami słychać gęste strzały. Czołgi napotkały jakiś opór gdzieś w rejonie na lewo od Piaseczna.

Spotykam na szosie dowódcę Armii. Jesteśmy o paręset metrów za naszą pierwszą linią, która wkracza do Piaseczna.

W Piasecznie na rynku spory tłum ludzi, witają radośnie własne wojsko, obskoczyli nasze czołgi, naszych żołnierzy — pytają trwożnie, czy Niemcy nie wrócą? Czy to naprawdę

plączę też niektórzy mężczyźni, kiedy wnoszę okrzyk — na cześć wolnej, niepodległej Polski Demokratycznej. Na zakończenie śpiewamy Rotę — niektórzy śpiewają ją klęcząc.

W godzinę później jesteśmy w Warszawie. Pierwsi warszawiacy jeszcze są w drodze — na piechotę nie zdążyli dotrzeć.

Miasto puste, martwe. Gdzieś widać grupki naszych fizylierów i saperów — łowców min. Jedziemy Puławską — coraz większe ruiny, coraz okropniejsze ślady barbarzyństwa zdziczałych hitlerowców. Gdzieś na Mokotowie wybuchła strzelanina. Coraz gęstsza — kilka wystrzałów z działka szturmowego i spokój.

Wjeżdżamy na plac Unii. Pali się kilka ocalałych do-

Wydaje rozkazy. Tak jest. Warszawa wolna. Trzeba natychmiast zawiadomić dowódcę frontu i rząd w Lublinie.

Wracamy do Sztabu Armii, który już na dobre rozlokował się w Piasecznie. Warszawa zaludnia się wojskiem. Ale nie tylko wojskiem. Obok żołnierzy maszerują z tobołkami, z koszykami, z dziećmi na ręku cywile-warszawiacy. Wracają — wrócili do wolnej, choć zniszczonej stolicy.

Na ruinach powiewają miejscami pierwsze biało-czerwone chorągwie, pierwsze po sześciu latach, pierwsze po tragicznym wrześniu 1939 roku. Po drodze do Piaseczna widzimy już tłumy warszawiaków, którzy śpieszą do zniszczonych domów. Rozpoczyna się pierwszy dzień nowego życia wolnej Warszawy(...).



POMYSŁY
Pan Widok w felietonie „Inwencja — znacząca pomysłowość” bardzo wybrzydza na obścienicze wysoki poetów „Nowego Wyrazu”, czy futurystów sprzed lat. Robi to jednak w sposób, który przypomina metody prasy lat 30-tych. Reprodukowano np. fotografie rozebranej modelki i opatrywano podpisem w stylu: „oto, jaka pornografka panoszy się na łamach kapitalistycznych gazet”.
Pan Widok cytując owe obrażające fragmenty, czynił podobnie. Czy nie stać go na nowsze pomysły?

OD REDAKCJI
Są pomysły stare i dobre — stosowane przez felietonistów od pokoleń. To na marginesie. Merytorycznie jednak trudno się z Panią zgodzić. Jeśli choć coś wykipić, muszę napisać, z czego i kpię i tu już żadne omówienia nie są możliwe. Dlatego cytuję z futurystów i „Nowego Wyrazu” wydały mi się konieczne w tym właśnie felietonie. Zwiastują, że te pierwsze weszły już nawet do historii literatury — a te drugie, być może, wejda. Bez względu na nasz do nich stosunek. Słowa „stosunek” proszę nie rozumieć tak dosłownie i bez poczucia humoru, jak zrozumiała Pani mój felieton.

WIDOK
* * *
RAJSKIE OWOCE
Przeczytałem interesującą „Prezentację” Szczepana Pieniążka, napisaną przez red. Bogdę Madej. Nasunęło mi się jednak pytanie. Czy rzeczywiście ów „rajski owoc” to były banany czy morele? W młodzieńcy słyszałem wersję, że były to owoce granatu.
Wydaje mi się to prawdopodobne, ponieważ granatowce (Punica granatum) pochodzą z

Azji Mniejszej, a przecież hipotetyczny raj mieścił się właśnie w Azji Mniejszej, w rejonie rzeki Tygrys i Eufrat. Wiele chyba granaty były owym rąjskim jabłkiem, zwłaszcza, że owoce granatu — zwykle czerwone jak jabłka, przypominają wielkością ten właśnie owoc. Argument, że liście banana mogły służyć do okrycia, też nie spore i tzw. zimotrwałe, a więc nadające się przez rok cały do okrycia.

mgr WŁADYSŁAW GRAZYŃSKI
OD REDAKCJI:
Owocu granatu nie widziałem, w raju nie byłymy, ubieramy się w gotową konfekcję. Naprawdę trudno nam w tych sprawach wyrokować i raczej wierzymy takimi fachowcowi, jak prof. Szczepan Pieniążek.

* * *
„LAMENT NA KIBICOW”
Pozwalam sobie na podziękowanie za napisany artykuł pt. „Wielki lament na wrednych kibiców”, zamieszczony w tygodniku „Odgłosy” z 24 grudnia.

Propozycja do głębszej analizy problemu warszawskiej Legii oraz zabrzańskiego Górnika zachęcała mnie „kibica-amatora” do podziękowania oraz podzielenia się pewnymi uwagami.
Sądzę, że już nadszedł czas, aby „ludzie pióra” (dziennikarze) zaczęli pisać artykuły bez zamówień i ofert przynoszących im oklaski tłumu, pieniądze oraz stanowisko społeczne. Przyznaję, że postawa społeczeństwa oraz prasy wobec Legii była wręcz demagogiczna. Wierzę, że obecnie społeczeństwo zacznie chociaż trochę logicznie myśleć oraz przestanie nawzajem pod sobą kopać doły.

ANTONI ZYSEK, Łódź
* * *
„MINAŁ ROK”
W „Odgłosach” nr 1 z 7.I.1973 roku opublikowano artykuł Lucjusza Włodkowskiego pt. „Minał rok”. W związku z tym dyrekcja Przedsiębiorstwa Czesankowej Antylany „Polanin” w budowie pra-

gnie ustosunkować się do tej części artykułu, która traktuje o naszym przedsiębiorstwie.

Autor artykułu stwierdza m. in., że chociaż roboty budowlane prowadzone są w dobrym tempie, to jednak ogólny rezultat jest mierny ze względu na opóźnienia dostaw maszyn. Dla kompleksowej oceny problemu dostaw maszyn dla przedsiębiorstwa czujemy się w obowiązku wyjaśnić autorowi artykułu, co następuje:

Wyposażenie w maszyny przebiega zgodnie z planowanymi w czasie dostawami.

W ramach założeń osiągnięcia efektów ekonomiczno-inwestycyjnych specjalnej filtracji poddano terminy dostaw urządzeń pochodzących z krajów kapitalistycznych, które stanowią około 80 proc. całego parku maszynowego. Chodziło bowiem o zgranie dostaw maszyn z terminem oddawania poszczególnych węzłów budowlanych, w których to następować będzie montaż urządzeń pochodzenia zagranicznego. To świadome działanie zapewniało nam, że maszyny sprowadzane z zagranicy za dewizy w ostatnim miesiącu ubiegłego roku nie będą

przechowywane w magazynie, a w efekcie pozwoliło uniknąć zamrożenia dużych środków inwestycyjnych.

W takim układzie organizacyjnym proces realizacji budowlanej i montażowej maszyn, w procesie realizacji budowy odpowiada postulatowi skrócenia cyklu przekazania realizowanej inwestycji do użytku przy planowo ukierunkowanej polityce zysków.

Wysiłkiem całej załogi oraz przedsiębiorstw wykonawczych, dzięki ich zaangażowaniu i sprawniej organizacji pracy plan roku 1972 wykonany został w 104 proc., w tym roboty budowlane 102,1 proc.

Dyrektor
mgr inż. B. LANDYCKOWSKI

Listy do „Odgłosów” prosimy adresować: Redakcja tygodnika „Odgłosy” ul. Piotrkowska 96 (skr. pocz. 333) 90-950 ŁÓDŹ
Dla listów poleconych, kierowanych bezpośrednio do redakcji: 90-103 ŁÓDŹ



— Dziś już nie da rady — powiedział pan Miecio z „Motozbytu”. — Kasę zamykają o piętnastej, zresztą trzeba wymienić ten pęknięty zamek u drzwi — niech pan już zaczeka do jutra...

Nie było innego wyjścia. Doktor Janowicz nie miał ochoty wlec się po raz drugi pekaesem z krańca województwa.

— Ale jutro będzie na mur-beton? — zapytał.

— No, wie pan, postaramy się — ręka pana Miecia wykonywała na blacie stolika nieskoordynowane ruchy. Bardzo zrećnie przykrył dłonią dwie czerwone setki podsunęte przez klienta.

— Wszystko gra — powiedział. — Jutro o dziesiątej.

Dwie czerwone setki przekonały także recepcjonistę w hotelu „Central”, który zaklinał się, że wszystkie wolne pokoje zajęła właśnie delegacja plantatorów maku.

W mieście Janowicz nie miał znajomych, nie znalazł zresztą Łodzi, pochodził z małego miasteczka, a medycynę studiował we Wrocławiu. W pokoju hotelowym raz jeszcze przeliczył pieniądze — 100 tysięcy zostawił w niebieskiej kopercie, ukrytej, zwyczajem większości mężczyzn, w tylnej kieszeni spodni. Pozostałe trzydzieści schował do portfela.

Było już ciemno, gdy usłyszał na korytarzu radosne głosy plantatorów maku. „Panie prezesie, zero pięć żytniej nikomu nie zaszkodzi... W „Tivoli” dają sztryptys — tego pan w Piotrkowie nie zobaczy...”

— Żytnie nie żytnia, ale zjeść coś trzeba — powiedział do siebie Janowicz i zaczął się ubierać.

W restauracji hotelowej na parterze było pusto i nieprzytulnie — doktor wyszedł na ulicę. Skręcił w lewo i zaraz po paru krokach zobaczył napis „Coctail-bar”. Wejście po schodkach, przez okno widać było niewielką salkę, prawie pustą.

— Słucham pana — potężna blondynka za barem spojrzała wyciekająco.

— Cholera, miałem coś zjeść — pomyślał Janowicz i powiedział: — Koniak i kawę.

Pierwszy był „Badel”, potem rosyjska „Brandy”. — „Pliśkę” mam w moim Siekierzynie — pomyślał doktor i zamówił jeszcze kieliszek „Unicum”. Ciemna baniasta butelka pachniała Wielkim Światem.

Kiedy wychodził z „Coctail-baru” wąska ulica Łodzi jakby nabrała rumieńców. Ludzie, jacyś sympatyczni, szuli się w różne strony i w ogóle życie zrobiło się piękne... Plantatorzy maku mówili coś o „Tivoli”. Zapytał kogoś, czy daleko. Okazało się — tuż za rogiem.

W „Tivoli” tańczono, striptease był również i doktor Janowicz poczuł się zupełnie jak w Paryżu. Przy sąsiednim stoliku siedział sympatyczny facet z brodą w towarzystwie dwu niebrzydkich dziewczyn. Kiedy artystka na estradzie pokazywała bliźnię po operacji ślepej kieszki, facet z brodą puścił do Janowicza oko.

Doktor uśmiechnął się.

Po chwili siedzieli już razem, Ludzi znających życie nie trzeba przekonywać, że już w pół godziny później przy stoliku siedzieli — Krzysio Janowicz, Piotrek, Alicja i Monika...

Piotrek zadysponował „zero pięć”, ale Janowicz oświadczył, że kelner też człowiek pracy, po co ma się fatygować dwa razy, więc lepiej pójść na „całość”.

— No to polecimy całością — zgodziły się panie i zrobiło się bardzo sympatycznie.

W głowie Janowicza zapaliła się czerwona lampka ostrzegawcza, gdy Piotrek zaproponował, aby pojechać do niego. Nadal było jednak sympatycznie i doktor nie chciał odmawiać. W Łodzi wszędzie jest blisko — postój taksówkę był tuż obok „Tivoli”.

W domu Piotra jednak postanowił się mieć na baczności. Mało to razy czytał w gazetach, jak się kończą takie przyjaźnie z nieznanymi ludźmi? Co chwila sprawdzał, czy koperta z pieniędzmi jest na swoim miejscu — wreszcie wydedukował sobie: „Nawet jak mi się zerwie film, nawet jak mnie zechcą obrócić — myślal — na pewno nie będą szukać forsy w płaszczu. Widzieli przecież pieniądze w portfelu”.

Wyszli do przedpokoju i w półmroku namacał płaszcz. Kopertę z pieniędzmi wsunął do wewnętrznej kieszeni i „uspokojony” wrócił do towarzystwa. Niestety — na krótko. Potem zerwał mu się jednak film...

Kiedy otworzył oczy, zobaczył najpierw swoją marynarkę rzuconą na krzesło. Płaszcz leżał na podłodze. Na korytarzu plantatorzy maku tupali donośnie, ktoś głośno ponaglał, przypominając, że na dworzec PKS jest dość daleko...

Janowicz sięgnął do marynarki. W portfelu znalazł pieniądze. Przeliczył. Dwadzieścia siedem tysięcy pięćset. „Ladnie” — pomyślał — „dwa i pół patyka poszło”. Uspokojony wstał i włożył rękę do kieszeni płaszcza.

Koperty nie było.

S tarszy sierżant w Komendzie Miasta kręcił głową z dezaprobatą.

— Toście się urządzili, obywatelu,

Doktor Janowicz rozłożył ręce.

— Więc mówcie, jak było — sierżant sięgnął po długopis.

— Nie wiem, nie pamiętam, zerwał mi się film. Wiem tylko, że byliśmy w „Tivoli”, potem pojechaliśmy taksówką.

— Z „Tivoli” na prawo czy na lewo?

Janowicz westchnął.

— Czy ja wiem... Pamiętam tylko, że to już było przedmieście. Domek na przedmieściu. Takie stare uliczki, domki z ogródkami. Ten domek miał nawet werandę...

— Panie, to mogło być gdzieś koło Brusa, mogło być na Stokach i równie dobrze na Widzewie... Nie pan więcej nie pamięta?

— Niestety.

— Coś mi się widzi, że samochodu pan na razie nie kupi. Milicja nie potrafi robić cudów. Cała pańska nadzieja w tym, że to byli stali bywalcy nocnych knajp. Albumy ze zdjęciami już pan obejrzał?

— Niestety, to żaden z tych facetów.

— My tu mamy karanych, ale to mogli być inni, którzy do naszego pamiętnika nie trafili, lecz zna ich personel knajpy. Jak zwracali się do kelnerów: panie Władziu, panie Zdzisiu?

— Nie, chyba nie... Jedna z pań nawet nie wiedziała gdzie są toalety...

— O czym rozmawialiście?

— Normalnie, o samochodach, o wszystkim i o niczym. Taka bezładna rozmowa przy wódce. Pamiętam jednak imiona: Piotr, Alicja i Monika...

— To nie nie da. Zeby pan chociaż pamiętał jakieś szczegóły z tego mieszkania...

— Niestety. Mieszkanie jak mieszkanie, nie nie pamiętam; było radio, bo ktoś włączył nocny program, był przedpokój, bo wisiały tam płaszcze — naprawdę nie więcej... Strasznie się urządziłem, zróbcie coś, panowie...

— Mówił panu, cudu nie zrobimy.

D oktor Janowicz wrócił więc do Siekierzyna pekaesem. Minęło wiele miesięcy zanim jakaś służbowa konieczność przygnała go do Łodzi. Jechał z niechęcią — przypominało mu to ową kosztowną przygodę.

Zbliżało się Boże Narodzenie i może dlatego odruchowo zatrzymał się przy ogromnej witrynie, zastawionej pociesznymi Mikołajami. Nagle, za szybą zobaczył Piotra. Stał przed ladą i rozmawiał z ekspedientką.

Janowicz wycofał się dyskretnie pod sąsiednią wystawę księgarni i czekał. Rozglądał się rozpaczliwie, ale jak na złość nie było w pobliżu milicjanta. Za chwilę Piotrek ukazał się w drzwiach i ruszył w górę Piotrkowskiej. Janowicz poszedł za nim.

Brodacz skręcił w prawo — doszedł do alei Kościuski i zatrzymał się na przystanku. Doktor minął go wraz z tłumem przechodniów i stanął także. Nadjechał tramwaj „21” — Piotrek wsiadł do pierwszego wagonu. Janowicz wskoczył do drugiego.

Jechali dość długo. Tramwaj skręcił w lewo do Piotrkowskiej, potem w prawo, potem znów w lewo... W wagonach zrobiło się pusto — Janowicz widział plecy brodacza, stojącego na przednim pomoście. Wreszcie na którymś przystanku Piotrek wysiadł i skręcił w boczną uliczkę. Teraz doktor przypomniał sobie — ten szereg domków — i w końcu uliczki ten właśnie z werandą. Z daleka widział jeszcze jak brodacz własnym kluczem otwiera drzwi wejściowe...

Zawrócił do głównej ulicy. Akurat przejeżdżała wolna taksówka. „Na komendę milicji” — powiedział.

W iosna wybuchła tak jakoś niespodziewanie i Piotr rzucił swój płaszcz na antresolę. Chomikował tam stare, niepotrzebne ciuchy, jakieś sterty czasopism, które „mogły się przydać”, ale nigdy się nie przydawały, schodzone buty, wyleniałe pędzle...

Alicja nie zaglądała nigdy za antresolę, wiedząc, że jest tam osobliwy śmietnik Piotra. Gdzieś w końcu kwietnia wyciągnęła jednak spod sterty starych łachów plik gazet. Robiła właśnie kilka plansz pierwszomajowych, nie chciała zachłapać podłogi.

Wpychając z powrotem wylające z antresoli ciuchy usłyszała, jak zaszleścił papier w starym płaszczu Piotra. Oczywiście — zajrzała.

W niebieskiej kopercie spoczywała pokaźna paczka banknotów. Zatkalo ją. Wiadomo — każde z nich miało swoje sprawy, swoje prace i zarobki, ale nie przypuszczala, że Piotr tak przemyślnie ukrywa przed nią pieniądze. „Zaskórniak-gigant” — pomyślała, wrzucając płaszcz z niebieską kopertą na antresolę.

Przez tydzień nie ruszała tych pieniędzy, ale przecież nie dawały jej spokoju. Pytała nie chciała, bojąc się ironii Piotra. Mogła się założyć o komplet kosmetyków Max Factora, że Piotr powie.

— No cóż, trzeba się z tobą ożenić. Wchodzisz w rolę żony, szperasz po moich rzeczach, żądasz wyjaśnień...

Nie chciała takiej rozmowy, nie chciała psuć tego ich dwuletniego współżycia. Więc milczała i próbowała zapomnieć o niebieskiej kopercie. „Tam nie ma żadnych pieniędzy, nie nie widziałam, nie moja sprawa...” — mówiła sobie.

Ale któregoś dnia Piotr wrócił zły i zrezygnowany. Oto jest okazja wyjazdu na miesiąc do Włoch, mogliby w dwie — Florencja, Wenecja, Rzym — byłoby pięknie, ale skąd wziąć 20 tysięcy... Piotr wówczas powiedział: „Ala, wszystko bym dał, żeby móc z tobą pojechać na miesiąc w tak piękną rajżę...”

— Wszystko? — zapytała Alicja.

— Tak, wszystko.

— Więc dobrze, zdobędę te 20 tysięcy.

— Ciekawym, skąd.

— Nieważne, w swoim czasie dowiesz się, ale teraz nie pytaj. Mam swoje sprawy i zarobki, tak jak ty masz swoje sprawy i swoje pieniądze — podkreśliła ostatnie słowa.

— Na razie mam tylko swoje sprawy, pieniądze mi niestety trochę brakuje...

— Więc ja uzupełnię ten brak.

Piotr nie pytał więcej.

W końcu czerwca wyjechali do Włoch. Przed wyjazdem tyle było wydatków („nie zaplanowanych” jak mówiła Alicja), że zawartość niebieskiej koperty stopniała prawie o połowę.

Po powrocie ilość „nie zaplanowanych” wydatków jakby nieco podskoczyła. „Czyżby Piotr zapomniał o pieniądzach w płaszczu?” — myślała Alicja, wyjmując z koperty kolejne banknoty... Do głowy przychodziły jej fantastyczne pomysły. Oto Piotr kupił ten płaszcz na ciuchach, nie wiedząc o kopercie z pieniędzmi. Oto dostał honorarium za jakąś większą robotę, poszedł na wódkę, zerwał mu się film i zapomniał... „Bzdura, chciałabym zobaczyć pracę Piotra za 100 tysięcy złotych”.

Słowem — nie było żadnego logicznego uzasadnienia dla tych pieniędzy bezcelnie i realnie tkwiących w kieszeni starego płaszcza. Niebieska koperta stała się w końcu obsesją Alicji. Podświadomie chciała wyczerpania tego konta. Całkiem świadomie robiła wszystko, aby to życzenie stało się faktem.

Piotr nigdy nie przywiązywał specjalnej wagi do pieniędzy, nie bardzo orientował się w cenach, powtarzał zawsze, że ma na głowie ważniejsze sprawy. Od dawna już malował drogiemi holenderskimi farbami, które Alicja kupowała w komisach i w „Desie”. Nosił zagraniczne koszulki i swoim zwyczajem stare „polo” wyrzucił na antresolę. Na imieniny dostał od Alicji magnetofon „Philipsa”, który dziewczyna kupiła w sklepie „Pekao”, przepłacając oczywiście konikiem z alei Kościuski. Stare wygi w mieszkaniu, że klientka zupełnie się nie orientuje w kursie bonów.

Marzenie Alicji, żeby ów bank na antresoli przestał wreszcie istnieć, coraz bardziej stawało się realne. Przecież czuwała, że bomba wybuchnie — nie wiedziała tylko jak i kiedy...

Kiedy zadzwonił dzwonek i w drzwiach ukazał się ten człowiek w towarzystwie dwu milicjantów, kiedy usłyszała, jak w podnieceniu mówi coś o 100 tysiącach, kiedy spojrzała w nic nie rozumiejące oczy Piotra — pojęła nagle wszystko...

Sto tysięcy poszło na drobne wydatki.

chowo
j po-
iotrka.

ystawę
jak na
Piotrek
wskiej.

ciuszki
z z lu-
amwaj
nowicz

Piotr-
wago-
bród-
rodym-
iliczek-
ców —
ka wi-
drzwi

wolna

Piotr
al tam
opism,
dawaly,

że jest
wielnia
z gazet-
chcia-

chuchy
Piotra.

paczka
miało
uszcza-
niezde-
plaszcz

przebież
się iro-
w Max

w rolę
ego ich
ala za-
zadnych
— mó-

owany
mogłoby
eknie,
dział-
nać na

eraz nie
y masz
kresz-
lzy mi

vjazdem
wila All-
prawie

ów jak-
pienią-
koperty
staszcz-
ach, nie
honora-
zerwał
zobaczyć

enia dla
kleszeni
końcu
a tego
o życie-

do pier-
powtarzal
dawnie
e Alicja
czne ko-
a antre-
philipsa
placając
w mie-
v kursie

prześlal
e. Prze-
ylko jak

się te-
kiedy
0 tysią-
Piotra



CASANOVA

Casanova. Imię, które obrosło legendą. U pań wywołuje przyspieszone bicie serca, u pańów głęboke westchnienie zazdrości. Jego bogate życie stało się tematem dzieł literackich, filmów — przypominamy tylko pełnometrażowy film o młodości Casanovy, czy telewizyjny z serii „Słynne ucieczki”, a nawet dzieł muzycznych — słynny Weaęclanin

Jest tytułowym bohaterem opery L. Różyckiego. Była to rzeczywiście niezwykła postać łącząca w sobie harmonijnie walory ciała z zaletami ducha. Szczególnie imponował ogromną eką zainteresowań, fenomenalną pamięcią i wielkimi zdolnościami narracyjnymi. Kłajdz, filozof, matematyk, alchemik, poeta, pisarz, tłumacz, przemysłowiec, przedsiębiorca w jednej osobie. Przymiowany był na wielu dworach europejskich, mimo iż nie pochodził z wybitnego rodu.

Nad wszystko przedkładał jednak rozkosze życia i dlatego do historii przeszedł jako awanturnik, cieszący się ogromnym powodzeniem u płci pięknej. Nieco inaczej rysuje się jego postać w świetle pamiętników, które spisywał w ciągu ostatnich czterech lat swego życia. Nie są one bowiem kroniką pobytu w alkowach i sypialniach dam różnych stanów. Wręcz przeciwnie o „tych rzeczach” pisze Casanova bardzo dyskretnie i z dużą subtelnością. „Pamiętniki” są przede wszystkim wspaniałym portretem epoki — wieku XVIII, przedstawionym żywo i malowniczo, z wielką spiszczagawością i ogromnym literackim talentem.

Warto również zwrócić uwagę na fakt, że w swych licznych podróżach po Europie trafił Casanova do Polski na dwór Stanisława Augusta, którego sekretarzem pragnął zostać. W rezultacie jednak po pojedynku z Branicim, ożwiścił o kobiecie, wyłudziwszy od króla pieniądze opuszcza nasz kraj. Opis tego epizodu zamyka pamiętniki postaci, która uważano za klasyczny typ uwodziciela, czym zubożano jej osobowość.

„Pamiętniki Casanovy”, Wyd. Czytelnik, 1972.

„WILKI”

Wśród ostatnich nowości, jakich dostarczyło nam Wydawnictwo Poznańskie w swojej „firmowej” Serii Pisarzy Skandynawskich, znalazła się powieść 78-letniego Mikkiela Fonhusa „Wilki”. Autor czterdziestu powieści i czterech tomów opowiadań, jeden z popularniejszych pisarzy norweskich, szerzej znany również poza granicami swego kraju, jest także wielkim podróżnikiem, który niemal na pamięć poznał Norwegię, zwiędził między innymi Kanadę i Afrykę, uczeszczył w wyprawach polarnych.

Mikkjel Fonhus, to rzeźnik ochrony przyrody (za co zresztą został specjalnie odznaczony) i ta pasja znajduje odzwierciedlenie w jego twórczości prozatorskiej. Także w „Wilkach”. Akcja książki, napisanej w roku 1933, toczy się na północy Norwegii, w Laponii, a nieodczynnymi w dzisiejszej literaturze bohaterami powieści są zwierzęta: wilki i renifery, zaciekle walczące o przetrwanie srogiej zimy. Jak to często bywa w literaturze skandynawskiej, także u Fonhusa, egzystencja ludzi jest integralnie związana z życiem przyrody, a prawa rządzące ludźmi i zwierzętami, mają ten sam surowy i bezwzględny charakter.

Mikkjel Fonhus, „Wilki”, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1972, str. 137, cena 18 zł. Przekład: Teresa Jętkiewicz.

NASZ RODOWÓD

Maria Turlejska dała się poznać Czytelnikom interesującymi publikacjami z najnowszej historii Polski. Ostatnio „Czytelnik” wydał nową jej książkę. Jest to zbiór trzynastu artykułów w większości napisanych w ciągu ostatnich pięciu lat. Dotyczą one — zgodnie z zainteresowaniami autorki — najnowszych dzieł narodu polskiego. Znamienny jest tytuł tego zbioru: „Spór o Polskę”.

Książka Marii Turlejskiej nie jest przeznaczona tylko dla czytelników interesujących się historią. Autorka we wstępie stwierdza, że „pamięć społeczna rzutuje na decyzje i postępowania zarówno poszczególnych ludzi, jak grup, warstw i klas społecznych. Doświadczenia czasów minionych, dawne klęski i powodzenia, interpretowane z określonego punktu widzenia, kształtują nasze postawy i sądy, a zatem i nasze zachowanie społeczne”. Jest więc to książka dla tych wszystkich, którzy chcą bliżej zrozumieć współczesność, szukając jej genezy w najbliższej narodowej przeszłości.

W „Sporze o Polskę” Maria Turlejska dzieł się refleksyjną na temat najważniejszych wydarzeń ostatnich lat. Jest więc tu i refleksja na temat startu do dwu różnych niepodległości: tej po pierwszej wojnie światowej i tej — po drugiej. Są uwagi na temat początku działalności konspiracyjnej w czasach drugiej wojny światowej, uwagi na temat planów generała Władysława Sikorskiego. Jest szkice o powstaniu Polskiej Partii Robotniczej, o pierwszych walkach partyzanckich i o dziejach Komendy Głównej Armii Krajowej. Są też szkice o powstaniu państwa ludowego — Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Już choćby ten pobieżny przegląd tematów, zawartych w „Sporze o Polskę”, pokazuje, że jest to analiza dwu różnych koncepcji Polski, analiza bez której trudno poruszać się po współczesności. „Każda epoka prowadzi dialog sama z sobą — stwierdza Maria Turlejska. — Musimy go usłyszeć”.

Maria Turlejska, „Spór o Polskę”, Czytelnik, Warszawa 1972, str. 395, cena: 36 zł.

SKANDALICZNA EDYCJA

O książkę dr med. Theodora Hendrika Van de Velde, byłego dyrektora Kliniki Ginekologicznej w Haarlem, pt. „Małżeństwo doskonałe” wiele osób słyszało, natomiast na pewno mniej widziało ją i czytało. Toteż zapowiedź (sprzed co najmniej półtora roku) jej wznowienia wzbudziła spore zainteresowanie. Choćby dlatego, że jak w przedmowie do obecnego przekładu z 77 nowo opracowanego wydania (!!) pisze jej tłumacz dr med. hab. Kazimierz Imieliński: „W polskiej literaturze popularno-naukowej nie istnieje dzieło o charakterze „Małżeństwa doskonałego”. Wydano już wiele prac, które omawiają tematykę współżycia seksualnego raczej od strony psychologicznej i psychoprofilaktycznej. Natomiast aspekt fizjologii i techniki współżycia seksualnego jest w nich zupełnie pominięty lub omawiany dość pobieżnie”. Nie mamy zamiaru recenzować tej książki, która powinna być raczej intymną lekturą Polek i Polaków i nie wspaniałomyślny o niej, bo i tak jak w księgarniach pewnie już nie ma, gdyby nie jeden znamienity fakt. Wydawca: Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich doskonale orientował się, że książka i tak pójdzie sprzed lada. Po co miał więc zadawać sobie trud w miarę przyzwolonego przygotowania tej edycji? 50-tysięczny nakład „Małżeństwa doskonałego” wydano w żalostnej formie; bez twardej oprawy, bez obwoluty, na najgorszym papierze. Książka ta przypomina kiepskie broszury, np. o walce ze stonką.

A dla porównania warto przypomnieć, że inne wydawnictwo: Państwowe Wydawnictwo Naukowe wydało w 1970 roku książkę dr med. hab. Kazimierza Imielińskiego pt. „Erozja”, także bardziej starannie, mimo że nie można jej porównać pod żadnym względem z „Małżeństwem doskonałym”. „Erozja” w niemal luksusowym wydaniu kosztował 45 zł podczas gdy „Małżeństwo doskonałe”, będące wyrazem lekceważenia czytelnika kosztuje 50 zł.

B.M.

Dr med. Th. H. Van de Velde, „Małżeństwo doskonałe”, PZWL, Warszawa — 1972, str. 323, cena: 50.—

Dalszy ciąg ze str. 1

Należało więc przedsięwziąć kroki w kierunku jak największego zabezpieczenia tego potencjału przemysłowego, tym bardziej, że po wyzwoleniu te rdzennie polskie ziemie winny były być zwrócone Polsce. I dlatego w myśl naszego planu, uderzenia wojsk kierowały się na okrajenie tego regionu: na północ i na południe. Jednakże nie ukrywam, że kiedy Stalin tak mocno, znacząco powiedział „Złoto”, pomyślałem, że należy z jeszcze większą uwagą i głębiej przestudiować wszystkie możliwości nie tylko wyzwolenia, lecz i uratowania Śląskiego Zagłębia.

W tym czasie przyczółek sandmierski był najmocniejszym naszym przyczółkiem na Wiśle: szeroki na 75 km i głęboki na 60 km. To pozwalało nam na rozmieszczenie na nim dość znacznych sił.

Tak więc operacyjno-strategiczne zadania stojące przed 17 Ukraińskim Frontem były wielkie. Do ich wykonania mieliśmy poważne siły. W owym czasie było u nas około 1.200.000 żołnierzy, 3.600 czołgów i dziesiątka pancernych, ponad 17.000 dział i moździerzy, 2.580 samolotów. Siła była ogromna i Front dysponując taką potęgą, zdolny był wykonać stojące przed nim zadanie strategiczne.

Dokładnie o piątej rano, po krótkim lecz mocnym ogniu artyleryjskim, przednie bataliony rzuciły się do ataku i szybko zajęły pierwszą transeję obrony przeciwnika. Już z pierwszych doniesień stało się jasne, że wróg nigdzie nie odszedł, że znajduje się tu, na miejscu, w strefie działania wszystkich zaplanowanych przez nas uderzeń ognia artylerii.

Ogień dział przy całej swojej krótkości był na tyle silny, że wywołał u nieprzyjaciela wrażenie początku ogólnego przygotowania artyleryjskiego. Wzięwszy działania przednich batalionów za ogólny atak naszych wojsk, faszyci spróbowali zatrzymać ich wszystkimi swoimi środkami ognia.

Lecyliśmy na to. Przednie bataliony zajmą pierwszą transeję, załęgły pomiędzy pierwszą a drugą. I w tym właśnie momencie rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Trwało ono godzinę i czterdzieści siedem minut. A było tak silne, że sądząc z wielu zdobytych dokumentów, przeciwnikowi zdawało się, jakoby trwało ono co najmniej pięć godzin.

Zaczęły się przygotowanie artyleryjskie, wbrew zwyczajowi nie wycofaliśmy do tyłu przednich naszych batalionów zajmujących pierwszą transeję. Każda bateria była związana z miejscowością w myśl koordynat na siatce geodezyjnej, tak, że działaliśmy z wyrachowaniem, jak się to mówi, staliśmy się trafić komarowi w oko. Na mapach u wszystkich obserwatorów i dowódców baterii znajdowało się dokładne oznaczenie pierwszej transeji, już zdobytej przez nas oraz położenie drugiej, gdzie znajdowały się jeszcze niemiecko-faszystowskie wojska.

Od artylerzystów wymagano jednego — dokładnej pracy. I oni nie pomylili się ani razu. W każdym razie na całym froncie wojsk nacierających nikt nie podał alarmowego sygnału: „Przeście — strzelacie do swoich!

Takie przygotowanie plus

narzucone od początku tempo natarcia plus zdecydowanie i umiejętności dowódców, dowódców korpusów, dywizji, brygad, zapewniły nam możliwość szybkiego wyjścia ku rzece i przeprawy zanim pojawiły się wojska nieprzyjaciela.

W centrum i na prawym flanku zgrupowania uderzeniowego sytuacja rozwijała się wyjątkowo pomyślnie. Na lewym skrzydle frontu także dojrzały istotne dla nas sprawy. 59 Armia Korownikowa i 60 Armia Kuroczkina wykorzystując sukcesy naszych wojsk na głównym uderzeniu, szybko przesuwały się ku Krakowowi. Rejon Krakowa był wówczas umocniony, przygotowany przez nieprzyjaciela do obrony i stanowił swego rodzaju forteczę, zamkniętą podejście do Zagłębia.

Przywiązując wielkie operacyjne znaczenie w wyzwoleniu Krakowa, zdecydowaliśmy wykorzystać część drugiego rzutu Frontu dla utworzenia nowej grupy uderzeniowej na odcinku krakowskim. Takie zgrupowania zostały utworzone w składzie 21 i 59 Armii. Kraków interesował nas nie tylko jako klucz do Zagłębia, lecz także jako znaczne miasto i druga, prastara stolica Polski.

Warunki dla pomyślniej ofensywy na odcinku krakowskim, a później Śląskim układały się pomyślnie. Wojska 5 Armii Gwardyjskiej Żadowskiej i 3 Gwardyjskiej Armii Pancerna Rybaków, działające na odcinku częstochowskim, już zagrażały Krakowowi z północy, a na lewo od nas 15 stycznia rozpoczął natarcie 4 Front Ukraiński.

Uderzenia 1 i 4 Frontu Ukraińskiego na oba flanki 17 Armii niemieckiej, w gruncie rzeczy stworzyły zagrożenie jej okrajenia. Pod naciskiem 38 Armii gen. K. S. Moskalenki wchodzącej wówczas w skład 4 Frontu Ukraińskiego, którym w owe dni dowodził gen. I. E. Pietrow, hitlerowcy zaczęli cofać się bardziej na południe i zachód od Krakowa, co pozwoliło wojskom naszego lewego skrzydła wyjść na przedpola Krakowa już pod koniec 17 stycznia.

Oczywiście nie od rzeczy będzie powiedzieć parę słów o sile nieprzyjacielskiego oporu, z którym zetknęliśmy się w ogóle podczas tej operacji. Do rozpoczęcia operacji niemiecko-faszystowskiej dywizje (w szczególności znajdujące się na przeciwno przyczółka sandmierskiego) były w pełni kompletowane i posiadały w swoich składach do dwunastu tysięcy żołnierzy i oficerów. Mówiąc inaczej, dywizja piechoty nieprzyjaciela liczebnie odpowiadała naszym dwóm dywizjom piechoty. Siła imponująca i od samego początku czekaliśmy, że faszyci będą walczeli z uporem, tym bardziej, że zarzysywała się perspektywa działań naszego wojska już bezpośrednio na terytoriach Trzebieży.

19 stycznia rano pojechaliśmy na punkt obserwacyjny 59 Armii gen. Korownikowa. Atakujące wojska drugiego rzutu podciągały pod Kraków dla zadania bezpośredniego ciosu z północy i północnego zachodu. Z punktu obserwacyjnego rozpościerał się widok na miasto.

Wspólnie z dowódcą armii oceniliśmy sytuację na miejscu, zdecydowaliśmy skierować dodatkowo do tej armii Gwardyjski Korpus Pancerny pod dowództwem gen. Polubojarowa na okrajenie Krakowa z zachodu. W połączeniu z działaniami 60 Armii wychodzącej w tym czasie ku południowo-wschodniemu i północnym przedmieściom Krakowa, ten manewr groził okrajeniem krakowskiego garnizonu.

Wojska 59 Armii już przygotowały się do ataku. Przed nimi stało zadanie wejść do miasta z północy i z

północnego zachodu i zająć mosty na Wiśle — pozabawiając tym samym nieprzyjaciela możliwości zorganizowania obrony w mieście.

Dla mnie było bardzo ważnym osiągnięciem błyskawicznego działania wszystkich rodzajów wojsk biorących udział w ofensywie krakowskiej. Tylko nasza szybkość mogła uratować Kraków od zburzenia. A my pragnęliśmy zdobyć go niezniszczonym. Dowództwo Frontu niechciało ostrzalu artyleryjskiego i bombardowania miasta. Natomiast umocnienia podejścia do miasta, na których była oparta nieprzyjacielska obrona, owego ranka poddaliśmy silnemu ognowi artylerii.

Skorygowawszy na punkcie obserwacyjnym przyszły atak, ja i Korownikow pojechaliśmy willisami bezpośrednio do podległych je mu ugrupowań bojowych. Korpus Polubojarowa już wkroczył do miasta z zachodu, a na krańcu północnym na całego toczyła się bitwa. Nasze przesuwanie się było pomyślnie. Hitlerowcy prowadzili ogień do naszych wojsk z karabinów, automatów, karabinów maszynowych, armat, a nawet z czołgów, lecz nie bacząc na ten hałas i detonacje czuło się mimo wszystko, że ten ogień głośno i w rzeczywistości opór wroga został już złamany. Niebezpieczeństwo okrajenia paraliżowało nieprzyjacielską decyzję mocnego trzymania się miasta. Korpus Polubojarowa łada moment mógł przeciąć ostatnią drogę wiodącą na zachód. Nieprzyjacielowi pozostawała tylko jedna droga — na południe, w góry. I wróg zaczął pośpiesznie cofać się.

W tym przypadku my nie planowaliśmy przecięcia ostatejnej drogi odwrotu hitlerowców. Gdybyśmy to uczynili, musielibyśmy później dość długo karczować ich i musielibyśmy oczywiście, zburzyć przy tym miasto. Mimo kuszącej chęci zamknięcia kotła, rozporządzałem zresztą po temu możliwości, nie uczyniliśmy tego. Postawiliśmy nieprzyjaciela przed realnym zagrożeniem okrajenia, nasze wojska wyrzuciły go z miasta bezpośrednim uderzeniem piechoty i czołgów.

Do wieczora wojska gen. Korownikowa, gromiące arriergardy nieprzyjaciela, przeszły przez całe miasto, natomiast oddziały 4 Gwardyjskiego Korpusu Pancernego z północnego zachodu i oddziały 60 Armii ze wschodu i północnego wschodu spowodowały u przeciwnika poważne straty podczas opuszczania Krakowa jak i po jego całkowitym opuszczeniu. Dzięki umiędzynemu działaniu wojsk Korownikowa, Kuroczkina i Polubojarowa stare i najpiękniejsze miasto Polski zostało zdobyte w całości i nieuszkodzone.

Mówi się, że w ciągu długiej wojny żołnierskie serce przyzwyczajają się do zniszczeń. Lecz jakby to serce nie było zahartowane, a pogodzie się z ruinami nie może. I to, że właśnie takie miasto jak Kraków udało nam się wyzwolić w całości, było dla nas wielką radością.

Nawiasem mówiąc faszyci podłożyli w mieście wielką ilość min — pod wszystkimi ważniejszymi przedsiębiorstwami, pod licznymi zabytkowymi budowlami. Lecz wysadzić ich już nie zdążyli. Nie zdążyły wybuchnąć miny z opóźnionym zapłonem. W ciągu ośmiu dni doby saperzy, zarówno armijni jak i frontowi, pracowali nie szczędząc rąk.

W tym dniu, w czasie walk, dojechałem zaledwie do północnych rejonów miasta, a następnego dnia widziałem już oczyszczone marszrutę z wizytówkami saperów: „Oczyszczono z min”, „Min nie ma”, „Rozminowano”.

Wojska posuwały się naprzód i 20 stycznia już przejeżdżałem przez Kraków razem z oficerami sztabu Frontu na nowy punkt dowodzenia.

Czekano na nas nowe zadanie — zdobyć Zagłębie.

Jeszcze wieczorem 19 stycznia, w dniu zdobycia Krakowa, ocenając perspektywę walk w rejonie Zagłębia, zrozumieliśmy, że wróg jest zdolny skupić tam moce zgrupowanie sił: do dziesięciu — dwunastu dywizji nie licząc pojedynczych i specjalnych jednostek.

Stały przed nami trzy zadania, łączące się w konsekwencji w jedno: rozbić śląskie zgrupowanie nieprzyjaciela bez większych ofiar z naszej strony, wykonać to w najkrótszym czasie i w miarę możliwości zachować nienaruszony przemysł Śląska.

Zdecydowano: okrążyć rejon Zagłębia pancernymi związkami taktycznymi, a następnie współdziałając z ogólnowojskowymi armiami atakującymi Śląsk z północy, wschodu i południa, zmusić hitlerowców pod groźbą okrajenia, do wyjścia na odkrytą przestrzeń i tam ich rozbić.

Wieczorem 23 stycznia, według danych naszego sztabu, został określony skład zgrupowań przeciwnika broniących Śląsk. Liczył on dziesięć dywizji piechoty, dwie dywizje pancerne, kilka tak zwanych grup bojowych, dwie samodzielne brygady, sześć samodzielnych pułków, dwadzieścia dwa samodzielne bataliony, w tym kilka szkółnych oraz jeden karny oficerski. Ponadto w najbliższym czasie można było spodziewać się przybycia dwóch lub trzech dywizji piechoty i jednej dywizji pancernej.

W tym czasie, zupełnie blisko Śląska, podeszły 21 i 59 Armie. Znajdowały się one tuż obok Bytomia i prowadziły boje o Katowice. 60 Armia, atakująca z południa, zajęła Oświęcim.

Decyzja o zrezygnowaniu z okrajenia śląskiej grupy wroga wkrótce przyniosła efekty. Pod silnym naciskiem wojsk radzieckich, bojąc się okrajenia, hitlerowcy zostali zmuszeni do pośpiesznej rejerady w przygotowane przez nas „wrota”.

Do dnia 29 stycznia cały śląski rejon przemysłowy był oczyszczony od nieprzyjaciela, zdobyty w całości, bez zniszczeń. Liczne zakłady, w chwili naszego wejścia, pracowały pełną parą i nie zaprzestały produkcji także później.

Sądząc z danych, którymi dysponowaliśmy, po szeregu ataków na wroga na gołym polu, z całego jego zgrupowania na Śląsku, zostało nie więcej niż dwadzieścia pięć — trzydzieści tysięcy żołnierzy tworzących najrozmaitsze rozbite i poszatkowane jednostki. To było wszystko, co udało się wyprawić z owego domnieganego kotła, z którego zrezygnowaliśmy w ostatniej chwili.

Oczywiście, prócz tego, przegapiliśmy paru hitlerowskich generalów, których mogliśmy wziąć do niewoli. Lecz nie żałowałem tego. To, co wygraliśmy, rekompensowało wszystkie nasze przeoczenia.

Według naszych obliczeń w ciągu dwudziestu trzech dni działań 1 Front Ukraiński rozgromił dwadzieścia jeden dywizji piechoty, pięć dywizji pancernych, dwadzieścia siedem samodzielnych brygad piechoty, dziewięć brygad artylerii i moździerzy, nie wspominając o wielkiej ilości liczących specjalnych pododdziałów i batalionów samodzielnych.

W czasie całej operacji zostało wziętych czterdzieści trzy tysiące jeńców, a zabito, według naszych obliczeń, ponad 150 tysięcy żołnierzy i oficerów. Wśród zdobytych naliczyliśmy ponad pięć tysięcy dział i moździerzy, ponad trzy tysiące czołgów, ponad dwadzieścia samolotów oraz wielką ilość różnej innej broni i sprzętu bojowego.

Opracował: EUGENIUSZ IWANICKI

Korespondencja

własna
z USA

Nowy Jork jest jak modny obecnie typ kobiety — nie piękny, ale interesujący, więcej nawet — fascynujący. W tej ogromnej metropolii (blisko 12 milionów mieszkańców) mieści się miniatura naszego świata, coś na kształt XX-wiecznej Wieży Babel — mieszanina ras, narodowości, religii, obyczajów, języków, strojów. Miasto kontrastów i sprzeczności. Miasto nieustających konfrontacji kulturowych i kulturalnych.

NOWY JORK I AMERYKA

Amerykanie powiadają: Nowy Jork to nie są Stany Zjednoczone. I chyba to prawda. Za granicami Nowego Jorku rozciąga się inny kraj, urzekający przywykłego do ciasnoty Europejczyka ogromem przestrzeni, bezkresnością krajobrazów, sielankowością małych miasteczek i ukrytych w cieniach ogródków drewnianych willi w kolonialnym stylu. Wydawałoby się — wiek XIX. I tylko wspinała się autostrada, krążące nad głowami odrzutowce, dalekie sylwety miast — kolosów świadczy, że to jednak wiek XX.

Niektórzy mówią: wielka prowincja. Istotnie, mieszkańcy tego kraju żyją własnym, izolowanym życiem, pochłonięci problemami własnego podwórka, w gruncie rzeczy obojętni dla spraw odległego świata. Pobyt w Stanach jest dla Europejczyka lekcją pokory i mądrości. Może jednak ponad miarę rozdmuchaliśmy znaczenie tego, co działo się i dzieje na tym tak małym i przeludnionym starym kontynencie. Dla przeciętnego Amerykanina węzłowe wydarzenia europejskiej historii, wybitne nazwiska literatury, postacie wodzów, polityków, geniuszów są czymś niemal zupełnie nieznanym, więcej — nieznaczącym. Jego horyzont myślowy wypełniony jest innymi wydarzeniami, postaciami, tytułami. Zrazu Europejczyk traktuje z pogardą Amerykanina — ignoranta. Po pewnym czasie pojawia się jednak refleksja. Przewykłomy mechanizm uważa to, co europejskie, za miarę wartości i miarę te przykłady do całego świata. Najtrudniej przechodzi człowiekowi świadomość względności. Abstrakcyjna wiedza o wielości kultur, tradycji, sposobów myślenia na naszym globie nie przeszkadza nam wcale tkwić w opłatkach tego, co nasze i z filozoficzną wyższością patrzeć na to, co inne, miast próbować zro-

zumieć to, co nasze w perspektywie tego, co inne. Z drugiej strony Europejczyk mając poza sobą nader bogate i krwawe doświadczenia historyczne lepiej pojmuje wzajemne zależności istniejące w dzisiejszym świecie. W Stanach ten proces pojmowania dopiero się zaczyna. Przełomowym momentem okazała się wojna w Wietnamie. Toczona o tysiące mil od granic kraju, wbrew opinii myślącej większości społeczeństwa, z biegiem czasu ponurym cieniem położyła się na życiu wewnętrznym Stanów. Myśleć tu nie tylko o daninie krwi, o wydatkach obciążających budżet państwowy, lecz o wzroście przestępczości i narkomanii.

W głośnym filmie Elli Kazana „Goście” odnajdujemy gorzka prawdę, iż brutalnie prawa wojny prowadzonej w odległych dżunglach Wietnamu przenikają do amerykańskich domów — tradycyjnych bastionów życia prywatno-rodzinnego. Dla Kazana — a postawa jego nie należy do odosobnionych — nie sposób wzniesić barierę oddzielającą wojnę i pokój. Akcentacja gwałtu i przemocy jako metody działania spowodować musi nieobliczalne spustoszenia w świadomości przeciętnego obywatela. Wojna w Wietnamie poruszyła sumienia moralistów, nade wszystko jednak przezwycięziła się do głębszych radzyli zacieli i umiłowienia — potażną część społeczeństwa amerykańskiego, a zwłaszcza młodziego pokolenia.

Nowy Jork to nie są Stany Zjednoczone. Nowy Jork to Ameryka. Wydaje się, że szczególne znaczenie tego miasta poczęło się w okresie obejmującym schyłek lat trzydziestych i lata czterdzieste naszego stulecia, kiedy to właśnie tutaj napływali uchodźcy z hitlerowskich Niemiec, z Francji, z ogarniętej pożogą wojny Europy. Było wśród nich wielu wybitnych artystów, intelektualistów, uczonych. Było wśród nich wielu czołowych przedstawicieli europejskiej awangardy: malarzy, filmowców, poetów. Ich aktywna działalność po-

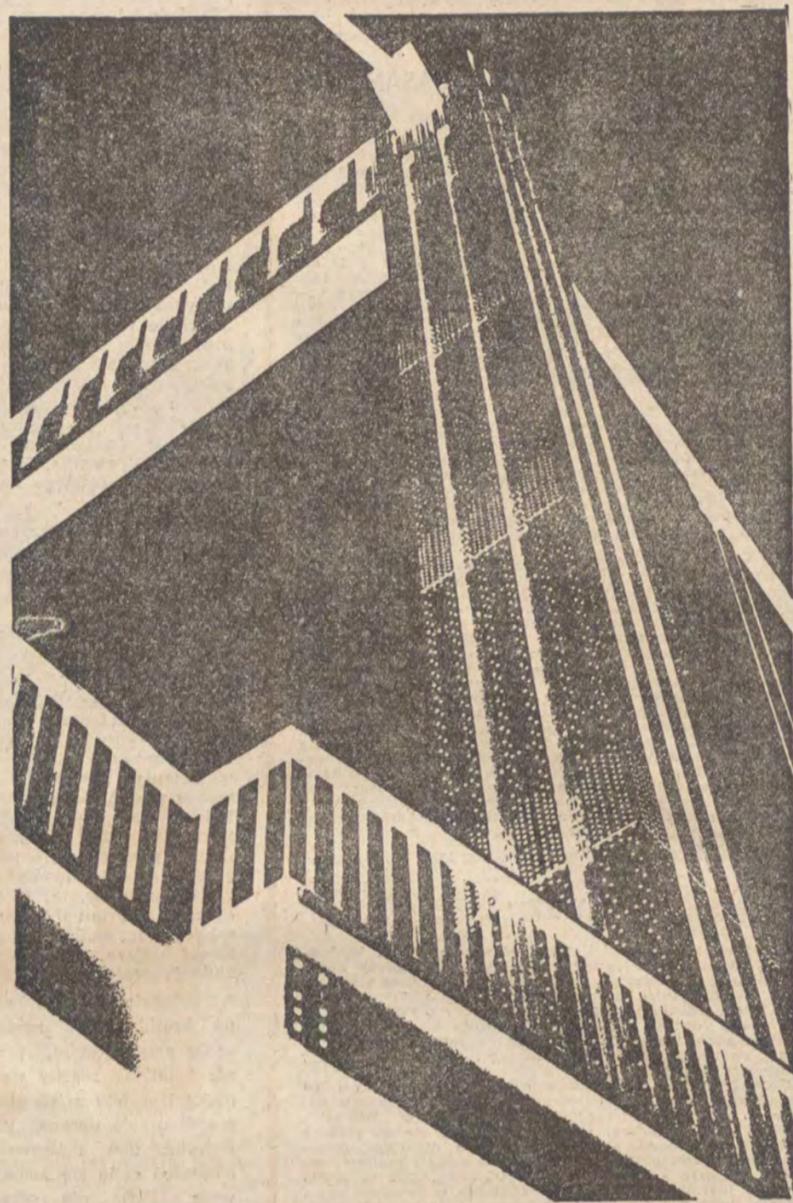
zostawiła trwale ślady. Nowy Jork przeobraził się w jeden z ośrodków awangardy, zwłaszcza w dziedzinie filmu i plastyki. Tu rozwinął się potężny nurt kina podziemnego, ludzie ambitnej, niezależnej produkcji filmowej. Tu kwitł op-art i pop-art. Błyszczały nazwiska Warhola, Rauschenberga, Lichtensteina i innych. Greenwich Village — dzielnica cyganerii urosła do rangi nowojorskiego Montmartre'u, stając się ozdobą i turystyczną atrakcją miasta.

Ulicami Village dniem i nocą snuie się tłum malowniczo przyodzianych postaci peł obłoga, a rozmaitych ras i narodowości. Jest tu gwarmlę, wesole i kolorytne. Do dobrego tonu należy przyjazne podrażnienie nawet nieznanym. Wzdłuż ulic, często w piwnicach mieszczą się sklepy, jakich nie sposób znaleźć w innych „solidnych” dzielnicach Nowego Jorku.

Można tu kupić modne w kręgach artystyczno-młodzieżowych egzotyczne szaty, skupowane na wschodnich bazarach, kożuchy z Pakistanu, tureckie bluzki i szarawary, dziwaczne sandały i szale, suknie świadczące o niezwykłej wprost fantazji krawieckiej, bogaty asortyment szaleńskich modnych rzeczy sprowadzonych, sprawnych oraz lekko szarganych (droższych oczywiście) odpowiednio od zupełnie niemodnych rzeczy nowych i ciałych.

Można tu także kupić wykonywane przez miejscowych i zagranicznych artystów rozmaite cudackie z drzewa, ceramiki i skórow niepospolicie gdzie indziej biżuterię, rzemieślniczo wykonane plakaty, służące ku ozdobie mieszkań. Jeden z nich, w związku z panującym szaleństwem odbudowania, głosi wielkimi literami: „seks nie ma koloru”. Poniżej tabele informacyjne, ile katorżi trać się przy poszczególnych czynnościach erotycznych.

Są również plakaty treści politycznej, na przykład: „spe-dzajcie wakacje w Wietnamie. Za każdy dzień bez bombardowania zwracamy pieniądze”. Są pomysłowe karykatury Nixona, listy gończe, wznoszące na grodzie za głowę niejakiego Jezusa Chrystusa, cieleci z zawodu, który z własnej woli zaprzęgał pochopenie zbawiać ludzkość, i twierdził, że należy kochać bliźniego swego. Malarze tutejsi chętnie oddają swój noszek na usługę zasobnych gości, a liczni astrologowie udzielają dokładnych informacji do-tyczających najbliższej przyszłości osób zainteresowanych oraz reszty kuli ziemskiej.



Osobliwość dzielnicy stanowią sklepy urządzone na wzór starożytnych salonów, a pełne wszelakich dziwności, wartościowych i jarmarcznych, antycznych mebli, tub gramofonów, starych fotografii, wachlarzy itd. Sprzedawcy w stylowych strojach, na ogół z połowy ubiegłego stulecia, spoczywają nie daleko w gustownych fotelach, słuchając muzyki niezłym gospodarzem oczekujący gości. Nie zauważyłam, by cokolwiek kupowano w tych do późna w nocy otwartych salonach, ale wszyscy chętnie do nich zaglądali. Stanowią o uroku dzielnicy, w której chyba najbardziej wyraża się tęsknota tej metropolii supertechniki, supernowoczesności i superfunkcjonalności — do rzeczy starych, bezużytecznych, dziwacznych, do fantazji i spontaniczności, do tradycji i historii wreszcie.

Willage mieszkają zarówno ci, których opromienił już blask sukcesów, jak i ci, którzy noszą bulawę marszałkowską w tornistrze. Ściągają

tu ludzie z odległych zakątków świata. Tworzą Marzrą o laurach i fortunie. Zdobywają w pocie czoła pieniądze. Organizują galerie, wystawy, kabarety. Artystyczny styl życia nie wyklucza wcale umiejętności organizacyjno-reklamowych. Konkurencja jest bardzo silna. By znaleźć się na szczycie drabiny nie wystarczy tylko talent. Trzeba mieć dużo energii, siły przebicia, chęć walki i ryzyka. Nowy Jork jest miastem bogatym, które stać na popieranie i kupowanie sztuki. Milionerzy, trochę dla próżności i fasonu, a trochę dla reklamy i ulg podatkowych chętnie przyjmują rolę mecenasów sztuki i kultury. Rockefeller — jr. idąc śladem swych świetnych poprzedników z epoki Renesansu, powiedział, iż sztuka nie powinna być marginalnym oz-

dobnikiem życia społecznego człowieka, lecz jego centralnym momentem. Sądzę, że nie tylko popyt przyciąga jednak artystów do Nowego Jorku. Jest w tym jakaś chęć spróbowania swych sił, sprawdzenia swych możliwości w mieście, gdzie łatwo zginać i zatracić się w anonimowym tłumie, ale gdzie zwycięstwo ma jeszcze autentyczny smak.

W Village sąsiadują ze sobą rozmaite muzy. Mieszczą się tu awangardowe teatryki, tzw. off-off Broadway. Wystawia się Brechta, Arrabala, Geneta, rodzimych dramaturgów itd. Jednym z większych ośrodków tego rodzaju jest Mercer Arts Center — siedziba kilku teatryków i kabaretów artystycznych. Odbывают się tu także imprezy filmowe, na przykład niedawno — prze-

FAJERWERK

WIATR ROZDMUCHAŁ

Kiedy przyjechałem na miejsce, dopalały się resztki domów, obór, stodoł... Pośród zgłiszcz błękał się ludzie otumanieni niespodziewaną klęską i szybkim biegiem wydarzeń ostatnich godzin.

Antoni Dutkiewicz chodził bezradnie, lzy miał w oczach. Od czasu do czasu przystawał przed przymagłym żyłą, wymłóconego tuż przed świętami, brał w garść nadpalone ziarno i przesywał je z ręki do ręki. Patrzył na zwęglone ścierwa świni. Po

świętach miały iść na spód. U sąsiada, Zygmunta Suliskiego też nie lepiej. I tu z dymem poszedł dom, stodoła ze zbiorami, obora wraz z trzema jałówkami i szóstką tuczników, maszyny. W Grabowinie poszło z dymem 14 budynków: dwa domy mieszkalne, 7 obór,

5 stodoł. Spłonęło kilka sztuk bydła, trzoda chlewna, konie, kury, maszyny rolnicze, zboże...

— Spałem — opowiadał Jan Piotrowicz. — Obudziło mnie głośne pukanie do okna i krzyk. Poznałem po głosie sąsiada, Ignacego Jabłońskiego, który wołał: Sąsiad! Sąsiad! Pali się! Wstawajcie!

Ubrałem się czym prędzej i wybiegłem do kuchni. Za oknem było jasno jak w dzień. Kiedy znalazłem się na dworze, zobaczyłem jak płonie stodoła i szopa Wincentego Juszczyńskiego. Szopa

przylegała do moich zabudowań, a wiatr wiał właśnie z tamtej strony. Byłem bezradny, widząc jak ogień przerzuca się na moje budynki, a później zabudowania sąsiada...

Wieś Grabowina w powiecie sieradzkim podobna jest do wielu innych wsi w województwie. Większość zabudowań kryły tu słomiane strzechy, przylegające niemal do siebie. Nie słyszano tu o uchwale Prezydium WRN w Łodzi, zalecającej wymianę pokrycia dachów wiejskich zabudowań. Nie słyszano o tej uchwale i gdzie indziej. W roku 1971 miano dokonać wymiany dachów na 4.181 budynkach, ale prace te zdołano przeprowadzić tylko na 2.416 budynkach, co stanowi zaledwie 57 proc. rocznych zamierzeń. Nie zdołała też zapobiec nieszczęściu kwietniowa kontrola bezpieczeństwa przeciwpożarowego. Dziś nawet nie wiadomo, czy ktoś z kontrolujących pofatygował się na strychy

zabudowań Wincentego Juszczyńskiego, żeby sprawdzić kominy. Bo stąd właśnie wydosłała się iskra, od której spłonęło pół wsi. Zresztą wszyscy wiedzą, że kwietniowe kontrole są fikcją. Mówi się o tym i pisze. Oto 27 kwietnia 1971 r. tak pisał o tym „Dziennik Łódzki”.

...Komisje powoływane przez gromadzkie rady narodowe są fikcją — składają się przecie w większości z gospodarzy, którzy u siebie tolerują niejedno... I dopiero kontrole gospodarstw, przeprowadzane przez pracowników etatowych straży spełniają swoją rolę — mówi por. Kazimierz Wajszczak z Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnej w Łodzi.

W ubiegłym roku strażacy wrywkowo skontrolowali w województwie ponad 21 tys. gospodarstw. W powiecie poddębickim — rejonie, gdzie wybuchło co roku najwięcej pożarów — skontrolowano 640 gospodarstw. W 120 obejściach stwierdzono 213 wykroczeń, ale tylko 35

osób ukarano mandatami, 3 sprawy skierowano do kolegium, a w 120 wypadkach wydano tzw. zarządzenia pokontrolne. Ciekawe, czy stan bezpieczeństwa w tych 640 gospodarstwach uległ poprawie?

Takie naszy mnie myśli, gdy opuszczając pogorzelska w Grabowinie, udawałem się do Woli Zalewskiej, gdzie w tym samym dniu, w trzy godziny później, wybuchł drugi groźny pożar.

Do Woli Zalewskiej zjechało 26 jednostek. Z pomocą pośpieszyli ci, którzy gasili ogień w Grabowinie oraz przyjechały jednostki powiatu poddębickiego: z Uniejowa, Poddębic, Wartkowie, a nawet odległego Dalikowa. Dziesiątki czerwonych wozów stało przy domach krytych słomą, aby chronić je przed ogniem. Ale mimo to i tu spłonęło 6 stodoł ze zbiorami i dom mieszkalny. Pożar wznicił kilkuletni chłopiec — syn miejscowej nauczycielki, który bawił się „zimnymi ogniami”.

MARIA KORNATOWSKA

gląd filmów kasety, poświęconych kobiecie.

W teatrzykach awangardowych przybysz z Polski z milim sercu poczuć satysfakcji obserwuje, jak duch groteskowy unosi się ponad scenami. Dyskusje na temat Metody Miśtra Grotowskiego należą do obowiązkowych punktów programu spotkań z ludźmi teatru. Ogromne zainteresowanie wzbudziła tu twórczość Brunona Schulza (ukazał się angielski przekład jego opowiadań). Spotkałam się (znów nie bez satysfakcji) z opinią, iż jest to absolutny geniusz głębia, oryginalnością i bogactwem wyobraźni przewyższający okrzykany (!) Kafkę. Inne polskie nazwiska, popularne w środowiskach artystycznych — to Witkacy, Gombrowicz, Jan Potocki — autor „Rekopisu znalezionego w Saragossie” (poznałam młodego człowieka, który marzy o sfilmowaniu „Rekopisu”), no i oczywiście — Penderecki.

Teatry off-off Broadway, utrzymywane przez fundacje, osoby prywatne, wspierane częściowo z funduszy Stanowej Rady do Spraw Sztuki, nie są przedsięwzięciem komercyjnym. Posiadają stałe grono bywalców, rekrutujących się głównie spośród artystów, intelektualistów, studentów. Zespół zaś to, zazwyczaj grono entuzjastów. Część z nich do końca pozostanie wierna artystycznym eksperymentom i sztuce czystej lub zaangażowanej, część zaś robi karierę trafiając na wielkie sceny Broadwayu oraz ekranu kin. Ulubieniec Nowego Jorku, nieznan dotychczas w Polsce, autor, komik i reżyser filmowy w jednej osobie Woody Allen debiutował jako autor i aktor w kabaretach Village. Wielu reżyserów próbuje swych sił w kinie, przeważnie w ramach niezależnej nowojorskiej produkcji. Wymieńmy dla przykładu dwóch: Roberta Downeya, autora „Pałacu Greasera” — filmu uznanego za jedno z najbardziej prowokacyjnych, dramatycznych i ekscentrycznych dzieł 72 roku oraz Harry'ego Jagloma — twórcy poetyckiej, lirycznej opowieści „Bezpieczne miejsce”. Obydwaj zresztą potrafili wykorzystać swoje doświadczenia sceniczne, wprowadzając oryginalne rozwiązania i pomysły.

dzając oryginalne rozwiązania i pomysły.

X Muza zajmuje zresztą poczesne miejsce w życiu Village. Pobliski hotel „Chelsea”, otoczony aurą skandalu i zgorzienia, stanowi rodzaj Olimpu podziemnego kina. Zasiadają na nim dostojni klasycy awangardy (współczesna awangarda ma to do siebie, że szybko się klasyfikuje) z Andy Warholem na czele. Młodzi z należytą czcią i nabożeństwem oglądają ich dzieła w Anthology Film Archives, czyli „pierwszym w świecie muzeum czystej sztuki filmowej”, prowadzonym przez Litwina z okolic Birzy, poecie, krytyka i reżysera, nadto proroka i apostoła Johna Mekasa. W maleńkiej sali o wybitnych czarnym pluszem siedzeniach — niszach, izolujących każdego widza od otoczenia, stwarzających nastrój kontemplacyjno-mistyczny, wyświetla się 101 filmów uznanych przez Mekasa — najczęściej na przekór poglądom oficjalnych historyków kina, za najbardziej znaczące wydarzenia artystyczne w dziejach sztuki filmowej.

Arbitralne stanowisko Mekasa charakterystyczne jest dla postaw obowiązujących w Village. Każdy czuje się tu w obowiązku głosić własne przekonania, najczęściej wbrew ogólnie przyjętym opiniom, w głębokim przekonaniu o konieczności ich głoszenia i dokumentowania. Wszelka działalność jest sprawą wyboru i wyraża określoną indywidualność. Można by powiedzieć, że podobnie jak dzieło sztuki, jest podpisana przez ludzi, którzy za nią stoją, którzy nadają jej prestiż i osobiste piętno.

Na południowych krańcach Village — w tak zwanym Soho — w stosownie zaadaptowanych starych, pofabrycznych halach, mieszczą się pracownie malarzy oraz liczne galerie. Panuje tu ożywiony ruch, zwłaszcza w dni weekendowe. Organizuje się festyny, kiermasze, happeningi, „sytuacje”.

Village posiada oczywiście swój organ prasowy, ambitny, poczytny, o lewicowym profilu tygodnik „Village Voice”, redagowany przede wszystkim przez zespół artystów i krytyków. Na łamach „Voice” znajdują odbicie spory toczony w barach, pracowniach i galeriach dzielnicy. Kruszy się kopie o formy i treści. „Voice” jest pismem konfrontacji. Redakcja chętnie udziela głosu przedstawicielom skrajnie przeciwnych szkół i tendencji. Nie tylko w sprawach sztuki zresztą. Pisze się tu sporo na temat rewolucji obyczajowej i seksualnej, kwestii murzyńskiej, ruchu wyzwolenia kobiet, tudzież niezwykle dziś dla Stanów znamiennego zjawiska, jakim jest nie tyle konflikt, ile rozłam pokoleniowy (tzw. gap-generation).

Lektura „Village Voice” pozwala lepiej zrozumieć to, co decyduje o atmosferze dzielnicy i jej znaczeniu. Nawet jeśli nie powstają tu dzieła wielkie, tworzy się ferment intelektualny, z czym nowych poszukiwań. Współistnieją obok siebie, współpracując ze sobą artyści posługujący się rozmaitymi środkami ekspresji, reprezentujący rozmaite orientacje, tradycje narodowe i etniczne. Kształtuje się niewatłowie jakiś nowy model życia artystycznego, nowy model działalności intelektualnej i dyscypliny artystycznej. W rezultacie wzajemnych kontaktów i przenikania się odrębnych tradycji rodzą się nowe, nieoczekiwane wartości. Village nie przypomina wieży z kości słoniowej. Tętni życiem. Jest ekspansywna.

„Voice” jest pismem konfrontacji. Redakcja chętnie udziela głosu przedstawicielom skrajnie przeciwnych szkół i tendencji. Nie tylko w sprawach sztuki zresztą. Pisze się tu sporo na temat rewolucji obyczajowej i seksualnej, kwestii murzyńskiej, ruchu wyzwolenia kobiet, tudzież niezwykle dziś dla Stanów znamiennego zjawiska, jakim jest nie tyle konflikt, ile rozłam pokoleniowy (tzw. gap-generation).

Lektura „Village Voice” pozwala lepiej zrozumieć to, co decyduje o atmosferze dzielnicy i jej znaczeniu. Nawet jeśli nie powstają tu dzieła wielkie, tworzy się ferment intelektualny, z czym nowych poszukiwań. Współistnieją obok siebie, współpracując ze sobą artyści posługujący się rozmaitymi środkami ekspresji, reprezentujący rozmaite orientacje, tradycje narodowe i etniczne. Kształtuje się niewatłowie jakiś nowy model życia artystycznego, nowy model działalności intelektualnej i dyscypliny artystycznej. W rezultacie wzajemnych kontaktów i przenikania się odrębnych tradycji rodzą się nowe, nieoczekiwane wartości. Village nie przypomina wieży z kości słoniowej. Tętni życiem. Jest ekspansywna.

Dziwnym zbiegiem okoliczności sąsiaduje z dzielnicą włoską, czyli tzw. Little Italy oraz chińską — Chinatown. To jeszcze jeden przyczynek do specyfiki Nowego Jorku. W Little Italy panują neapolitańskie obyczaje, w oknach suszy się białozna, życie towarzyskie toczy się przed domami, piękni czarnowłosi chłopcy nucią kłliwe cancony. Od czasu do czasu w tutejszych trattoriach dochodzi do kłótni, rozpraw między członkami mafii.

Chinatown wabi licznych przechodniów specjalami chińskiej kuchni, tandetną, kolorową ezotyką, tajemniczością Wschodu. Inne nacie też maia swoje dzielnice lub choćby skupiska, mniej wprawdzie malownicze i atrakcyjne. Mają swoje kościoły, kluby, domy kultury, restauracje, kina. W październiku 1972 roku w polskim skupisku w Brooklinie uroczyste otwarto kino polskich filmów „Chopin”. Na pierwszy ogień poszedł przyjęty przychylnie przez spragnioną rodzimego humoru publiczność — „Człowiek z M-3”. Ludzie ci

stopniowo wrastają w Amerykę. A przecież kultywują swoje narodowe obyczaje, tworząc na nowym kontynencie jakby miniaturową część Starego Kraju. Czym jest dla nich to miasto, do którego wejścia strzeże na polu komiczna i na polu groźna Statua Wolności? Czy daje im coś więcej nad złudzenie dostatków?

Każda nacja ma swoje święto. Polacy hucznie i z pompą obchodzą Dzień Pułaskiego, Włosi urządzają dwutygodniowy karnawał ku czci św. Januarego, Little Italy przeżywa wówczas wielkie dni. Nawet mafia odkłada na później swoje porachunki. Chińczycy po sąsiedzku uczęszczają u siebie miejsca wloskim kramarzom. Ulicami udekorowanymi trójkolorowymi chorągiewkami spaceruje i tańczy rozrabiany tłum. Z wysokości ulicznych ołtarzy św. Januarego dobrotliwym okiem spogląda na małe Hindujsia i Murzyniaka, podrygując w takt „Santa Lucia”. W takich momentach Nowy Jork ujawnia swe oblicze miasta plebejskiego, które na równi z chlebem kocha igrzyska. Każda, nawet najbardziej oficjalna uroczystość, ma tutaj w sobie coś z jarmacznego spektaklu i zarazem zabawy, w której chętnie i aktywnie wszyscy uczestniczą.

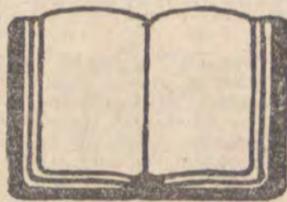
W epoce telewizji i masowej motoryzacji nowojorskie ulice, skwery i placówki tętnią wciąż jeszcze własnym, autentycznym życiem. Ludzie tłumnie biorą udział w wielkich ulicznych koncertach muzyki jazzowej, (które z reguły przekształcają się w ogólną zabawę), w występach tzw. teatrów ulicznych (o bardzo ambitnym często repertuarze), w awangardowych happenin-gach pod gołym niebem, przychodzą na przedstawienia Metropolitan Opera w Central Parku i koncerty muzyki kameralnej na dziedzińcach srodownego z Europy klasztoru.

Kiedy w jednym z wytwornych kin w centrum Manhattanu odbywała się premiera „Rzymu” Felliniego, na ulicy rozłożyli swoje barwne stragany włoscy kupcy. Nie była to il tylko kwestia handlowego instynktu. W tej spontanicznej inicjatywie wyczuwało się coś z klimatu dzieła, które za chwilę mieliśmy oglądać, dzieła stworzonego przez artystę prawdziwie plebejskiego.

W powszechnej świadomości utrwalił się obraz Nowego Jorku — kamiennej pustyni, miasta drapaczy chmur, banków, Wall-Streetu, rekinów finansjery, strasznych mieszczan i dorobkiewiczów. Chciałbym zwrócić uwagę czytelników, że istnieje również i inny Nowy Jork, mniej znany i okrzyczany, a przecież ciekawszy.

Książka Janusza Skoszkiewicza „Śniadanie na trawie” (Wydawnictwo Łódzkie, 1972) porusza kilka problemów, a może trafniej byłoby powiedzieć, że autor, a za jego pośrednictwem czytelnik, zadaje sobie szereg pytań. Czy mamy prawo do marzeń, zawsze, w każdym wieku, czy lepiej się ich prędko pozbyć i żyć tak, jak nam się życie złożyło? Czy zawsze, do końca będziemy szukać spełnienia się młodzieńczego ideału w drugim człowieku, kobiecie, albo mężczyźnie? Czy w ogóle taki wzór istnieje — dla każdego inny — i czym on jest w istocie?

Czy wolno nam wkraczać w życie naszych dorosłych już prawie dzieci, wymagać od nich więcej, niż żądamy sami od siebie? Kto czym będzie tu sędzią, dorosłe pokolenie — młodych, czy może nieoczekiwanie — zupełnie odwrotnie. Czy w ogóle możemy się wzajem sądzić w tym, co jest po prostu wiecznie ludzkie — w prawie do spełnienia się naszego życia według naszych pragnień? Nawet, gdyby one okazały się później złudne, albo pozorne.



KSIAZKA

do człowieka, co można nazwać także humanizmem.

Książka jest wyrazem sporej kultury artystycznej autora, posiada swoje korzenie w historii kultury w ogóle, co nie jest częstym zjawiskiem w literaturze.

Byłaby to naprawdę dobra książka, gdyby nie kilka mankamentów, poważnie ciążących na wielu jej zaletach. Powieść jest konstrukcją jako całość, wszelka sztuka jest

ZŁUDA I PRAWDA MARZEŃ

Już samo postawienie tych problemów należy zapisać na konto autora, zwłaszcza, że nie daje na nie uproszczonych odpowiedzi, zostawia każdemu czytelnikowi własnych przemysłań, zmusza do zastanowienia. Jedną zaś z funkcji literatury jest nakłonienie czytelnika do samodzielnego myślenia, zasłanie w nim moralnego niepokoju.

zawsze konstrukcją, chociaż odbiorca nie ma prawa nawet się domyślać, jak ciężko ta konstrukcja została wypracowana. Dobra konstrukcja książki to harmonijne połączenie wszystkich elementów dzieła i żadna partia powieści nie może robić wrażenia na czytelniku, że została na siłę wmontowana w całość.

„Śniadanie na trawie” jest niestety „posiekane”. Wydaje się czasem, że niektóre rozdziały pisane inną ręką, którą gonik pospiech. W powieści niczego nie wolno streszczać, każdy element fabuły trzeba budować. I tak zmyślony przez Izę — jedną z bohaterów powieści — własny życiorys, jest streszczeniem, niedobrym wtrętem w powieść. Podobnymi wadami odznaczają się retrospekcje autobiograficzne głównego bohatera, chociaż nie są tak uderzające nie-zręczne i lepiej „siedzą” w tekście, niż przeszłość Izę. Chyba po prostu ta dość złożona książka potrzebowała znacznie dłuższego czasu na opanowanie jej wielowątkowości, niż sądził autor, albo zawrócił tu warsztat pisarski. Warsztat jednak to tylko uporzeczona praca i jego sprawność zależy wyłącznie od pisarza. „Śniadanie na trawie”, liczące sobie 233 strony druku, zagraboby pełnią swoich watorów, gdyby autor dodał do niego co najmniej 100 stron na tzw. „puszczone wątki”.



Janusz Skoszkiewicz

Skoszkiewicz jest przy tym zafascynowany mitem „wiecznej kobiecości”. Jego wyraz w powieści stanowi postać le-gendarnej władczyni Egiptu — Bereniki. Tej samej Bereniki, której warkocz starożytni astrologowie wpisali w gwiazdną mapę nieba.

Bohater książki przez całe życie szuka swojej Bereniki. Nie przypadkowo najlepsze partie powieści, pisane poetycką prozą, to zadanowanie — do celów nie tylko konstrukcyjnych powieściowej, ale wyrażenia jej myśli — motywu — historii i mitu o Berenice.

Skoszkiewicz odznacza się nie częstą u powieściopisarzy cechą — rozumie kobiety. Ma do swoich bohaterów sympatię, konieczny dystans, pozwalający na obiektywny stosunek

które skupiają nie mało, bo ponad 40 tys. ohotników. Jest 140 ohotniczych straży pożarnych w zakładach pracy, do których należy 4 tys. osób. Ludzie ci, uzbrojeni w pełne uprawnienia, mogliby zrobić dużo. Jak do tej pory też nie wiele, albo zgola nic, nie robi się w celu likwidacji potencjalnych przyczyn pożarów. Wieś jest już zelektryfikowana, ale czy ktoś pomyślał o poinstruowaniu rolników, jak posługiwać się sprzętem elektrycznym? Dlaczego na wsi przepalone bezpieczniki „licuje” się grubym drutem, a nie stosuje się bezpieczników automatycznych? Dlaczego przemysł produkuje żelazka, maszyny elektryczne i inne urządzenia bez odpowiednich zabezpieczeń? Jest wiele podobnych znaków zapytania i chyba nie akcje, ale codzienna, rzetelna troska o bezpieczeństwo może przynieść rezultaty.

Wydaje się, że jak do tej pory nie wykorzystuje się w pełni ogromnego potencjału, jakim są ochotnicze straże pożarne. Przecież mamy w województwie 1575 jednostek terenowych OSP,

MACIEJ ZDZIENICKI

BARBARA NAWROCKA

STEFAN SZPINGER

Wreszcie wkroczyły oddziały radzieckie. Nasza chata również zaludniła się żołnierzami. Gospodarze wytraszeli skądś samogon. Wyraźnie poprawił się nastrój, ale officer polityczny, który obchodził swoje posterunki, szybko uspokajał zbyt podochoconych.

Zmordowani żołnierze radzieccy jeszcze dwa dni pozostawali w Rudzie, po czym ich żelazny potok runął dalej.

Wróciłszy do Krakowa na Dębinki.

Zycie odrodzonej Polski i nasze osobiste zaczęło się na nowo — u mnie, nie wiem już po raz który, ale tym razem doznałem się wymarzonej socjalistycznej Polski Ludowej.

Pierwsze tygodnie dały posmak dawno nie zaznanego poczucia bezpieczeństwa, a beztrudnie chodzenie po ulicach i do kawiarni było radosnym przeżyciem. Przy-

Po drodze, już w szczerym polu, jacyś maruderzy odbierają pasażerom walizki i wyrzucają je przez okna. Wobec opornych właścicieli waliz przyjmują groźną postawę. Część pasażerów i kilku uzbrojonych wojskowych zatrzymują pociąg i wyganiają bandytów z wagonu. I teraz zaczyna się prawdziwy western. Bandyci, kryjąc się za nasympem, zaczynają ostrzeliwać pociąg, zwalczając nasz wagon. Nasi zaś kropią do nich z krótkiej broni.

W Poznaniu na dworcu podobna sytuacja. Piątka uzbrojonych łobuzów odbiera lamentującym kobietom walizki, ale tu od razu i energicznie wkraczają milicjanci. Sprawiają tęgie lanie bandytom i odbierają zrabowane rzeczy.

Jedziemy dalej. Nareszcie Bydgoszcz! Dalej jechać nie można, obowiązują przepustki. Lokujemy

Wszystko to wala się na parkietowych podłogach, przysypane tynkiem i gruzem. Widocznie walczono tutaj o każdą ulicę. Widzimy kosz pełen wartościowych, holenderskich talerzy. Ktoś nie zdążył jeszcze wynieść. Spotykamy pokoje urządzone na wschodni sposób: mosiężne prześcieranki, czynniki i inkrustowane stoliki, ale częściowo połamane i zdeptane. Ofensywa wojsk radzieckich musiała być błyskawiczna, bo widać, że Niemcy w poplochu opuszczali mieszkania.

Oglądamy Wreszcz. Przechodzimy obok otwartego sklepu z materiałami elektrycznymi: przy suficie wiszą żyrandole, na półkach pełno towaru, a w głębi nie rozpakowane jeszcze skrzynie. Dalej widzimy warsztat krawiecki, a na stołach walają się stopy skrojonych mundurów niemieckich. Robi to wrażenie, jak gdyby krawcy wyszli na chwilę do sąsiedniego pokoju na kawę. Na ulicy stoi luksusowy tapczan ze

może. Ale mój wrażliwy żołądek odmawia przyjmowania twardego jak podszawa mięsa konserwowanego w beczkach (widocznie z zapasów marynarskiej kuchni) i kartofli polanych nie wiadomo jakim sosem. Towarzystwo wytrzymuje to — ja nie. Poszukujemy jakichś kasz lub czegoś łatwiej strawnego. Niestety — bez rezultatu. Wyżywienie, to dla mnie poważny problem, bo zaczyna mnie chorować.

Z ciężkim sercem decyduję się na chwilowy powrót do Krakowa, bo nie chcę przedwcześnie złożyć swoich kości na piasku Wybrzeża. Adam deklaruje chęć towarzyszenia mi: chce zobaczyć, co się dzieje w jego domu, ale obiecujemy sobie wrócić tutaj niebawem z zapasami żywności, aby na przekór wszelkim przeciwnościom spełnić swoje i jego marzenia o zamieszaniu nad „Wielką wodą”.

Zegnamy Wybrzeże. Korzystamy z pierwszej sposobności wy-

wych, a nawet małych przedsiębiorstw przemysłowych. Za wszelką cenę należy społeczeństwo włączyć do odbudowy zrujnowanej gospodarki. Na razie nie mam innego zabezpieczenia, więc chętnie przystaję na propozycję Pujdaka.

Przenoszę się z rodziną do Łodzi. Adam Milan wyjeżdża z rodziną do Gdańska. Na miejsce zamieszkania obrali sobie Oliwę, gdzie z wielkim nakładem sił remontują zrujnowaną willę. Pomaga mu w tym energiczna żona, pani Marysia.

W Łodzi o mieszkanie niełatwo. Z dużym trudem lokujemy się na peryferiach Chojen, w Józefowie, z którego muszę codziennie dojeżdżać do centrum miasta. Wkrótce znajdujemy mieszkanie przy ulicy gen. Karola Świerczewskiego. Nasza niezawodna przyjaciółka, pani dr M. Szczodrowska, przenosząc się do Warszawy, oddaje nam swój lokal.

Książka i księgarstwo nieodparcie mnie przyciągają. Niezależnie od wspomnianego przedsiębiorstwa Pujdaka, organizuję małe wydawnictwo, w którym jako pierwsze pozycje wydaję fantastyczną powieść mojego przyjaciela Jerzego Rychlińskiego i jakąś obrazkową książkę dla dzieci. I na tym koniec, bo są duże kłopoty ze zdobywaniem papieru i drukarni, a nie chcę angażować się w nabywanie papieru drogą „okazyjną”.

W dziedzinie wydawniczej i księgarskiej łódzkie środowisko wysuwa się na czołowe miejsce w Polsce. Spontanicznie powstają placówki wydawnicze i księgarskie, które, powiedzmy sobie szczerze, nie kierują się jedynie przegromną potrzebą tworzenia tych niezbędnych społeczeństwu instytucji kulturowych, ale również mają na uwadze świetne interesy, związane z popytem na książki. Społeczeństwo, jak gąbka, wchłania każdą ilość na nowo drukowanych książek. Wznawiany jest nieśmiertelny Kraszewski, kilkakrotnych nakładów doczeka się Ziółkowski, również prawnice książki natychmiast znajdują nabywców. Szczególnie „Idą” książki z obrazkami dla dzieci i literatura młodzieżowa. Głód książek jest olbrzymi.

Szczęściem, że placówki wydawnicze i księgarskie znajdują się w rękach doświadczonych i odpowiedzialnych księgarzy-fachowców, którzy nie będą karmili społeczeństwa lekturą bezwartościową.

Reaktywowane są w szybkim tempie takie księgarnie, jak „Główna Księgarnia Wojskowa”, prowadzą ją Jan Rogoziński, pierwszy prezes Związku Księgarzy Polskich w Łodzi, a filię Gebethnera i Wolffa obejmuje jej dawny pracownik, Wacław Kozak. Józef Brzeziński organizuje placówkę „Prasa Demokratyczna”, zaś jeden z najlepszych znawców poszukiwanych książek antykwarystycznych, Tadeusz Męczyński, z ramienia powstałego „Czytelnika”, obejmuje kierownictwo księgarni przy ulicy Piotrkowskiej, stawiając wkrótce tę księgarnię na czołowym miejscu. Muszę też wspomnieć o Henryku Pakosiaku (nawiasem mówiąc ostatnio wymienieni są moimi dawnymi kolegami z oficyny Gebethnerowskiej), który z polecenia „Społem” powołuje do życia hurtownię „Społem”. Hurtownia, ten niezbędny koordynator życia księgarskiego, odgrywa jak gdyby cementującą rolę całego aparatu dystrybucyjnego, bowiem Pakosiak ściągą z całej Polski wszystkie osiągalne wydawnictwa.

Rząd Polski Ludowej, jak najbardziej zainteresowany w uporządkowaniu tego chaotycznego stanu rzeczy, powołuje do życia pierwsze ośrodki wydawnicze. W roku 1948, na mocy dekretu Rady Państwa, powstaje przedsiębiorstwo „Dom Książki”, mające za zadanie uporządkowanie rynku księgarskiego i dystrybucji książek. „Dom Książki” przejmując się powstałych księgarń, koordynuje ich działalność, a zarazem powierza kierownictwo tych placówek doświadczonym księgarzom, których, na szczęście, Łódź posiada pod dostatkiem. Prócz już wymienionych należy tu wspomnieć o pierwszorzędnym fachowcach, długoletnich pracownikach w księgarstwie, takich jak: Kazimierz Weber, Longin Kaepczyk, Jan Gierańczyk, Stanisław Sobczak, Bronisław Kaczmarek, Ryszard Dynarzewski, Marian Kaniński i innych. Dzięki nim księgarstwo łódzkie należy zaliczyć do najlepiej zorganizowanego wówczas środowiska.

WYPRAWA NAD WIELKĄ WODĘ

zwycajaliliśmy się do odzyskanej wolności.

Kraków w tym okresie stanowił duży ośrodek życia kulturalnego kraju. Zawsz — z całej Polski, a już najwięcej z Warszawy, napłynęło do miasta tysiące uciekinierów. Spowodowało to, że Kraków gościł wielu ocalałych z pogromu wybitnych przedstawicieli środowisk naukowych, literackich i sztuki jak również wybitnych przedstawicieli świata finansowego i gospodarczego.

Spotykam znajomych. Obok wybitnych warszawskich wydawców i księgarzy, wielu znanych pisarzy — Kornela Makuszyńskiego, Witolda Balickiego oraz cały zespół pracowników Z.Ni Im. Ossolińskich ze Lwowa, którzy w pierwszym etapie oparli się o Kraków, a później znaleźli swoją stałą siedzibę we Wrocławiu. Spotykam Jana Wiktora, Józefa Bieniasza, Wilama Horzycę i innych. Są też Błażejewscy, a nawet prezes lwowskiego oddziału Tow. Szkoły Ludowej, dr Stefan Uhma, z którym niegdyś byliśmy na stopie wojennej, a teraz tutaj, w pogawędce kawiarnianej zapomniał się o tym.

Te zastępy uciekinierów, po odzyskaniu wolności, szybko zaczynają opuszczać gościnną Kraków. Jedni z pierwszych wyruszają warszawiacy, ale wielu z nich, zastawszy szkielety domów, zatrzymuje się w mało stosunkowo zniszczonej Łodzi, by tutaj znaleźć punkt oparcia. Łódź, miasto najbliższe Warszawy, stawszy się nagle jak gdyby stolicą kraju, gościnnie wchłania wszystkich.

Jedził chodził o mnie i moją rodzinę: żonę i dwóch małych synków, to sam nie wiedziałem, co mam zrobić. Posiadałem nieco gotówki, uzyskanej ze sprzedaży wywiezionych z Warszawy, a szybkie znajdujących nabywców książek, ulokowanych w księgarni S. A. Krzyżanowskiego, który co pewien czas niezawodnie rozliczał się ze mną.

Zawsze fascynowało mnie morze i szybko zdecydowałem się z Adamem Milanem na zwiadowczą wyprawę na zdobyte Wybrzeże. Ruszamy w trójkę: ja, Adam i jakiś jego kolega. Podróż w kraju, przez który przeszedł huragan wojny, zostawiając zgłiszczą dotąd jeszcze niezupełnie ostygłe, obfituje w epizody jakby żywem wzięte z westernu.

Już pierwsze godziny w przepelnionym pociągu, gdzie wszystkie stany narodu przemieszały się z uzbrojonymi żołnierzami, dają posmak tego, co nas może jeszcze spotkać. Oto jakiś mocno podchmielony opryszek zabiera się nie na żarty do swojej przypadkowej sąsiadki. Interweniuje w jej obronie, ale tamten zaczyna wymachiwać rewolwerem.

Czekamy na następną pociąg. Pociągi ruszały wtedy bez sygnału i jeden z nich masakruje kilka bab, które akurat przelazły pod wagonami. Wreszcie podstawa nasz pociąg, więc szturmem zdobywam miejsce w wagonie.

się więc w hotelu „od Orlem”, po czym, przedstawiając u pełnomocnika rządu dokumenty otrzymane w Krakowie od starosty grodzkiego, dra Fiderkiewicza, i bez kłopotów otrzymujemy w Oddziale Bezpieczeństwa i Porządku Publicznego odpowiednie przepustki na dalszą drogę.

Z Bydgoszczy jedziemy na otwartej platformie, bo innych wagonów nie ma. Lokomotywa opalana jest drzewem i wyrzuca miliony iskier wprost na platformę. Obserwujemy ze zgrozą, że ubrania towarzyszy podróży zaczynają się tlić. Na szczęście, niektórzy mają plecy i wyrzuca chroni się pod nimi. Nad ranem przesiadamy się na wojskowe ciężarówki i wkrótce dojeżdżamy do Pruszcza Gdańskiego, stanowiącego przedmieście Gdańska.

Na polach pełno trupów. Wojsko chce nas zmobilizować do kopania grobów, ale się nie dajemy. Dokumenty nas chronią. Po drodze widzimy szubienice z wiszącymi szerniałymi trupami. To hitlerowcy karali śmiercią tych Niemców, którzy gotowi byli białymi flagami witać wojsko radzieckie.

W Gdańsku meldujemy się u pełnomocnika rządu, członka KC PPR, tow. Kowalskiej. Na razie czekamy, pozostając do jej dyspozycji. Otrzymujemy opaski białoczerwone jako znak odróżniający nas od licznej jeszcze rzeszy Niemców, czekających na ewakuację do Rzeszy. Niespodziewanie stajemy się „Herrenvolkiem”, bo te „biedaczyny” Niemcy, porzuceni przez swoich możnowładców, pokornie schodzą nam z drogi i zdejmują szapki, chociaż nikt tego od nich nie wymaga. Są nauczeni tego, bo przecież niedawno jeszcze Polacy zmuszani byli przez nich do upokarzającego gestu obnażenia głowy, a poza tym uważali, zresztą wcale logicznie, że teraz oni są „an der Reich”.

Hitlerowcy siedzą jeszcze na Helu i ostrzeliwiają wybrzeże Zatok. Zajmujemy pierwszą z brzegu willę na tymczasowe locum. Okazuje się, że jest to willa adiutanta Foerstera. Znajdujemy tam album z fotografiami z polowania w lasach Białowieży, dygnitarzy hitlerowskich w towarzystwie naszej śmietanki — z prezydentem I. Mościckim i innymi członkami sanacyjnego rządu. Oddajemy ten album do tworzącego się biura administracji gdańskiej.

Willi jest brudna, więc wołam Niemców z przeciwka — sporo ich jeszcze czeka na ewakuację — i każę im zrobić porządek. Tak — role się zmieniły.

Wkrótce jednak przenosimy się do stosunkowo mało zniszczonego Wreszcza, bo dotychczasowy teren zajmuje sztab wojsk radzieckich. W opuszczonych willach spotykamy sporo pozostawionego dobra. Bogate wschodnie dywany, dużo porcelany, obrazy jeszcze wiszące na ścianach, wartościowe książki, które zawsze wzbudzają moje zainteresowanie,

złamaną jedną nogą, na razie nikomu niepotrzebny.

Patrzmy na mieszkańców, cywilów, którzy krzątają się koło swoich mieszkań i swego dobytku, przekonani, że zostaną ewakuowani do Reichu. Często zwracają się do nas o różne wyjaśnienia i o pomoc, bo głód zagładą im w oczy. Muszą przetrzymać ten przejściowy okres do czasu, kiedy zostaną zlikwidowane ostatnie punkty oporu na Helu i administracja polska zaprowadzi porządek. Na razie jesteśmy na froncie.

Wojna trwa. Bezustannie słyszę znajomą melodię pojedynku artyleryjskiego. Zaciętych hitlerowcy ciągle jeszcze trzymają cypel helski, widocznie wierzą jeszcze, że jakiś cud wymyśli ich oszałały fuhrer.

A my tymczasem codziennie musimy odbywać pieszą wódkę do Gdańska, gdzie miejscowe władze nakazały wydawać nam jedzenie ze wspólnego kotła. W tych warunkach inaczej być nie

można. Zabiera nas ciężarówka administracji, jadąca do Torunia. W Toruniu zatrzymujemy się u przyrodnika poznane kolejarza, który słysząc, że nie mamy się gdzie podziąć, ofiarowuje nam po prostu gościnę u siebie.

Chodzę po Toruniu, mieście, w którym się urodziłem. Oglądam zabytkowe gmachy, stary ponury kościół św. Jana, kościół św. Marii, gdzie odbywał się mój chrzest oraz zabytki ze wspaniałą historyczną bramą Toruń, na szczęście, nie zniszczone — zaczyna już żyć nowym nurtem.

Nazajutrz jedziemy dalej koleją i zatrzymujemy się w Łodzi, którą mnie wiąże tyle wspomnień. Spotykam Jana Pujdaka, zajętego właśnie organizowaniem jakiegoś przedsiębiorstwa. Namawia mnie, abym na razie pozostał w Łodzi i pomógł mu w jego poczynaniach. Jest to przedsiębiorstwo optyczno-sportowe. Władze lokalne nawołują do szybkiego uruchamiania wszelkich warsztatów rzemieślniczych i handlo-

HENRYK HARTENBERG RYSUJE SERCE ZIARNA

Porażony widokiem krwi
Płonącej w rozdarciu marmuru
(Głaskanego ongiś najbielszą dłońią)
Padłem na kolana jak ów pielgrzym
Przed obrazem objawionym —
Nie wiedziałem jeszcze że w żyłach marmuru
Bije fala odurzającej czerwieni —

Porażony lawiną słońca
Splywającą z wysokości ukrzyżowanego drzewa
(Pod którym przetoczyła się kula czasu
Miażdżąc dzieciństwo) padłem na kolana
I „zgięty w kulistość” przeleżałem długo
Aż noc nasycała się dniami —

Nie wiedziałem jeszcze że w ukrytym drzewie
Ukryte jest serce potępionego świata —

Porażony cieniem dostojnych bogów
Schodzących ze śnieżnych szczytów Olimpu
(Skąd Zeus ciskał gromy kute ręką cyklopów)
Padłem na kolana wzywając „Gemiusz Życia”
Ażby rozwiłkła dzieje bogów tak bardzo zawiłe —

Nie wiedziałem że w papirusowej Księdze Przenaczeń
Wpisano mnie wśród śmiertelnych którzy pokonają gigantów —

Porażony niewidzialnym słowem
Które ociera się o naszą kość skórę i wyobraźnię
(Dzień w dzień to samo jak teraźniejszość i przeszłość
Jak świadomość i niewiedza) schroniłem się
W dobroliwym kamieniu gdzie barwy dźwięku
Linia prosta i kształt spojrzeń
Gdzie wszechświat prawdziwy —

Nie wiedziałem że słowo (tak jak światło, woda i miecz)
Które tężeje w szaleńczym ogniu
Spala przeciętność pustoząca ziemię
Wyzwała śmierć z rozpacz żywych
Kruszy ścianę (zbrzydną pomiotem ptaków)
Zakrywającą drzewo trwożliwego poznania
A potem rysuje linię zielonych złudzeń —
To już miłość wszechogarniająca —

Porażony widokiem krwi cieknącej z kamienia
Padłem na kolana i przeleżałem długo
Aż noc nasycała się dniami
I mną —

JAK POZBYĆ SIĘ „KOMPLEKSU SYRENY“?



— Syrena — to nie samochód — powiedział ze śmiechem instruktor kursu prawa jazdy.

Słyszałem to później wielokrotnie. Nie chcę być rzeczniczką firmy z Zeran, czy z Bielska-Białej, ponieważ podykt na „Syrenę“ i tak jest duży. Nie występuję też w imieniu rozczarowanych, czy malkontentów, choć w okresie gwarancyjnym moja „Syrena“ przeżyła 65 usterek, a kierownik TOS, zapytany, czy ilość ta mogłaby upoważnić do reklamacji całego wozu, odpowiedział:

— Panie! Przecież to normalne. Gdybyśmy wszystkim chcieli...

Kompleks „Syreny“ wywołano u mnie Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej. Towarzystwo to dało mi perspektywę zwiedzenia świata dzięki

zwiedzić nie potrzeba pomocy bogatego wujka, jedynie samochód, który mieściłby śpiwór, 2 kanistry na benzynę, dużo jedzenia włącznie z jajkami i kuchenką gazową z gwarancją na palnik.

Wszystko to miałem. I miałem kompleks „Syreny“. Trasę wyznaczyłem sobie na mapie — nie mniej niż 5 tys. kilometrów. Znajomym chwaliłem się, że jadę do Australii, Włoch, Monako i Francji. A oni patrzyli na mnie z zaskoczeniem, dopóki nie dopowiadałem, że jadę „Syreną“. Wtedy wzruszali ramionami. Ba! Gdyby i wiedzieli, że na 10 dni przed odjazdem „Syrena“ stanęła na torach tramwajowych przy ul. Zachodniej z pękniętym przegubem skrzyni biegów. Tydzień przed odjazdem zgubiła poprzeczkę dźwigni katowej skrzyni biegów, w następnych dniach zalewata świece wywołała spiekanie w przerywaczach świateł i w ostatnim dniu rzuciła na moje kolana przycisk klaksonu. Gdyby umiała mówić, powiedziałaaby chyba:

— Nie chce widzieć Hofburgu, Wenecji, Capri, kasyna gry w Monte Carlo. Zostaw mnie na Bałatach w adaptowanej na garaż stajni, gdzie zdarłam w młodości lakier na drzwiach i blotnikach.

Byłem jednak nieublagany. Kompleks „Syreny“ dochodził u mnie do szczytu. Zdecydowałem wybić go klinem. Ruszyłem na zachód z Kudowy, z pewnością, że jednak wrócę „Syreną“. Nie chciałem zrobić zawodu Towarzystwu Krzewienia Kultury Fizycznej. Nie podziękowałem też celnikowi za radę, aby nie pozostawiać „Syreny“ przy emigracyjnych samochodach, bo...

Zgodnie ze wskazówką kie-

rowcy polskiego TIR, nie pojechałem przez Hradec Karlove i Brno do granicy czeskosłowacko-austriackiej, tylko w kierunku przejęcia granicznego za Znojimą. Poszukiwanie drogowskazów trwało krótko. Już wieczorem powitałem wojskowego czeskiego, stojącego przed szlabanem, okrzykiem: Co to już granica? Nie chciałem po ciemku zdobywać Wiednia, wrócić więc, by zaparkować na rynku Znojmy. Cofając, zahaczyłem rurą wydechową przy ścieku o kocię łeb. Zmartwiałem i miałem koszmarne sny o TOS.

Rano powitano mnie w czeskim warsztacie nie jak natręta. Cięcie rury palnikiem acetylenowym, dopawanie w środku nowej i założenie na nowych gumowych podwieszaniach trwało nie dłużej niż godzinę. Poczulem nagłe jak kompleks „Syreny“ zaczął się zmniejszać.

Na autostradzie do Wiednia, kiedy dokonywałem drobnych wykróceń w przepisach drogowych, sądziłem, że to z kurtuazji dla cudzoziemca kierownicy nie stukają się w czoło i nie pomawiają mojej matki o złe prowadzenie się.

Wieczorem, kiedy z Wiednia jechałem w kierunku Grazu, spotkałem na stromej drodze wielokilometrowe zatory, powodowane przez ciężarówki. W czasie jazdy w dół na wolnym kole samochód mój wyróżniał się tym, że wymagał, aby jednocześnie naciskać pedał hamulca i pedał gazu. W innym wypadku zapalała się czerwona lampka kontrolna, gasi silnik, a możliwości nie było, aby przedmuchać dyszę wolnych obrotów. Wiedziałem, że kiedy silnik zgaśnie, z tyłu nie będą trąbić i chociaż widziałem na poboczach rozbite samochody,

slusnie wierzyłem, że nikt nie zatrzyma się na bagażowniku mojego samochodu. O tym, że jadę „Syreną“ przypomniał mi dopiero sympatyczny konwojent polskiego TIR w punkcie granicznym na przełęczy Tarvisio.

— Wie pan, tyle lat jeżdżę za granicę, a pierwszy raz widzę „Syrenkę“.

Po 15 dniach spotkałem go znów na Tarvisio.

— No, jak tam „Syrenka“ się spisowała?

I człowiek ten nie był zdziwiony, kiedy mu powiedziałem, że wszystkie części, które mi udostępnił Motozbyt, wiozę z powrotem, że tylko w górach nad Monako i Niceą i w Alpach Liguryjskich na trasie do Turynu zatrzymywałem się co kilkanaście kilometrów, otwierając maskę i pokrywę chłodnicy przy zapuszczonym silniku. A był to dzień, kiedy wyleczony byłem z kompleksu „Syreny“.

Właśnie na Tarvisio, gdy byłem tam pierwszy raz i dokonywałem rozliczeń finansowych, związanych z zapisem do Auto Mobil Club D'Italia, „Syrenę“ przyjeżdżał do mojego szacunkiem. Carta Carburante, którą odebrałem wraz z legitymacją członkowską i niezliczoną ilością informacji na piśmie oraz przywilejów, dawała 33 proc. zniżki na benzynę, w postaci kuponów, każdy na 5 litrów benzyny „Normal“.

„Syrena“ została wpisana na listę najznakomitszych samochodów — członków tego charakterystycznego Klubu. Pomimo tego nie korzystała z wielu uprawnień. Nie korzystała z ubezpieczenia od kradzieży, ponieważ w północnych Włoszech kradzieże są rzadszym zjawiskiem niż pod innymi szeroko-

kościami geograficznymi. Nie korzystała z darmowych lub ulgowych parkingów ACI, ponieważ na całej trasie spotkałem tylko jeden parking klubowy i to wypełniony tak samochodami, że z trudem można było przejechać między nimi. Ze zniżki w muzeach korzystałem rzadko, bo często wital mnie napis na drzwiach: „chiuso“, tj. zamknięte.

Oboje z „Syreną“ nie korzystaliśmy z pomocy darmowego pogotowia drogowego ACI, które dokonywało transferu uszkodzonych samochodów swojego klubu do warsztatów. Jeden raz tylko byłem holowany nie przez ACI i nie z winy mojego samochodu. Było to późnym wieczorem w okolicy Mallnitz, na wysokości powyżej 2000 metrów. Rozgrzany słońcem Nicel, zachęcony dotychczasowym powodzeniem w wykonywaniu planu turystycznego i zgodnie z duchem epoki przekraczania planów produkcyjnych, postanowiłem w drodze powrotnej zwiedzić Salzburg. Utknąłem na stromej drodze z przekonaniem, że peki przegub przy prawym kole. Okazało się jednak, że przednie koła stoją na lodzie, a tylny w zaspie śnieżnej. Dopiero trzeci zatrzymany przeze mnie samochód, który miał najlepsze ogumienie, zdołał wyciągnąć „Syrenę“ na linie holowniczej, zaceplonej na specjalnie zamontowanym przed wyjazdem haku.

I tak to powstało moje uczucie do mojego samochodu. I rosło tak, aż do przyjazdu na Bałuty. Koledzy gratulowali mi, że żyję. Byli to ludzie, którzy nie mieli jeszcze „Syreny“, a mieli już kompleks „Syreny“. Niepotrzebnie.

LUDWIK GEBEL

NIE TYLKO DLA DZIECI

Nowa opowieść Ewy Ostrowskiej „Przygody Króla Gucia i Króla Maciusia“, rozpoczynającą znane nam dobrze słowa: „Było sobie raz...“ Nie jest to jednak baśń w tradycyjnym rozumieniu tej formy podawczej. Kłopotu dostarczają przede wszystkim bohaterowie tytułowi. Bo kogoż właściwie z woli autorki reprezentują? Czy jest to tylko dwóch sympatycznych zresztą, a wielce infantylnych, choć obdarzonych przez złośliwy los — żonami i dziećmi — panów, robiących z wdziękiem jedynie to, na co mają ochotę, czy też po prostu parę serdecznych przyjaciół, z krainy baśni rodem, gdzie wszystko nie tylko jest możliwe, ale nawet nic nikogo nie dziwi. I chociaż obojeściami wolalabym — zamiast tych dużych żonatych dzieciaków widzieć jedynie dwu samotnych chłopców — zgodzić się trzeba, iż ci monarchowie Ewy Ostrowskiej są inni. Nie lubią etykiety i wszelkich ceremoniałów, nie mają zbyt wielkiej chęci na „królowanie“,

nie doceniają wartości kruszców i z prawdziwą radością zmieniają złote korony zamieniając na dużo wygodniejsze, bo tekturowe, przystępnie i prostakami o całokształt obarczając małżonki, nie tyle groźne, co komiczne megierki, zupełnie obojętne dla losów powieści.

O wiele ciekawsze i miłsze od obu par wydają się małe królowy — Esmeralda i Moniczka, toteż z chwałą wprowadzenia ich na widownię zmienia się — jakby za dotknięciem różdżki czarnej — księżka. Gdzieś daleko, daleko ze swymi kłopotami panowania zostają Gucio i Maciś, ludzie bezpośredni i sprawdził i niefrasobliwi, wyżej ceniący tort śmietanowy i barwnego latawca niż brylanty i grono-staje, ale mimo wszystko dość konkretni i praktyczni. Autorka porzuca lekko kpiący ton, w jakim opisuje życie i obyczaje dworu (funkcje urzędników królewskich, dekoracyjny orderem Śpiewającego Kanarika, lekarza kurującego wy-

rowanym niepotrzebne jest „mędrca szkiełko i oko“. Jednocześnie stanowi obronę praw każdego z nas do marzeń, snów, nadziei i piękna. Pisarka powiada przecież:

„I jeżeli ktoś z was ma, tak naprawdę, własne marzenia, pozwólcie im być z wami. Choćby to były zupełnie nierozumne i niesmieszące się w naukowych źródłach ani w matematycznej ścisłości tabliczki mnożenia — pozwólcie“.

I jeszcze: „...każdy człowiek, niezależnie od tego, czy ma swego króla, czy nie — żyje swoim własnym życiem“.

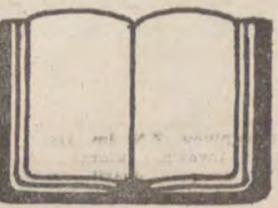
I dlatego pozwólcmy sobie na mały luksus realizacji własnych marzeń, niezależnie od tego, czy będzie to napisanie najznakomitszej książki kucharskiej, odnalezienie najwyższej góry, wypuszczenie najspanialszego latawca, czy hodowla najpiękniejszej róży naszego życia.

Nie są to oczywiście sprawy nowe. O prawo do marzenia upominał się niegdyś w SŁAWIE Janusz Korczak, ukazując ich piękno walczyła o nie w NAD CZARNĄ WODĄ Ha-

lina Górską. Obronę tych praw podejmuje też bardzo żarliwie Ewa Ostrowska i to jest jej niewątpliwą zasługą, aczkolwiek teza owa wynika dość jasno z samej powieści i nie wymaga dodatkowych jeszcze na ten temat, jakby dołączonej do tekstu uwag. Wyjątkowo autorskich, co zostało uczynione najzupełniej niepotrzebnie.

Z omówioną tu myślą przewodnią książki wiąże się bardzo ściśle sprawa adresata powieści. Dedykacja oficjalna skierowana jest do córek pisarki, a zatem w jej zamyśle — do odbiorców młodszych. Myślę jednak, iż adres ów można i należy bezwzględnie poszerzyć. Książkę niewątpliwie chętnie przeczyta każdy, kto mocą marzeń potrafi się znów odnaleźć w dzieciennym pokoju, gdzie zetknął się był kiedyś i umiał porozumieć z Czerwonym Kapturkiem i trzema świnkami, Alicją z Krainy Czarów i Małym Księciem, Kubusiem Puchatkiem i Mary Popins, andersenowską Syreną i Dziewczynką z zapłatkami.

Historię Gucia i Maciusia (zilustrowaną tyleż pomysłowo, co przekornie przez Witolda Kalińskiego) opowie-



KSIAŻKA

dziano nam spokojnie i kulturalnie, ładnym językiem, przechodzącym niekiedy w poetycką prozę (piękny opis koncertu wiatru). Na tym tle jednak przykro razą takie potknięcia jak: „najzgodliwszy“, „Tak pisze w dworskich księgach“, „dreptał“, „od której strony na to by nie spojrzeć...“, które zdążyłam wynotować.

JOLANTA KOWALCZYKÓWNA

Ewa Ostrowska: „Przygody Króla Gucia i Króla Maciusia“, Łódź 1972, Wydawnictwo Łódzkie, cena 15 zł.

§ Pan Janusz

Ponieważ prowadzenie kroniki kryminalnej wymaga wyjątkowej uczciwości autora wobec czytelników, wyjaśniam na wstępie, że historia, o której zaraz opowiem, jest bardzo stara i przebrzmiała. Jej bohaterowie odsiedzieli już, co słowie, więc ich nazwiska nie będziemy wymieniać, pozostawiamy tylko przy ich stanowiskach. Zresztą, czyż stanowiska nie są ważniej-

sze niż nazwiska, nie mówiąc już o imionach. Starożytnieci to przecież zyczaj bardziej dbać o dobre imię niż o dobrą posadę.

Pan Janusz, kiedy rozpoczął pracę w nowym przedsiębiorstwie, stanął właśnie natchniony przed takim dylematem: praca czy reputacja. Jeszcze nie zdążył wykazać się swoimi kwalifikacjami zawodowymi, a już poddano go próbie cha-

rakteru. Kierownik pracowni zażądał od niego, aby z kwartalnej premii uiszczył jeden procent na Fundusz Dyrektorski.

— Panie Januszu — powiedział do niego — nasz dyrektor ponosi wielkie wydatki związane z organizacyjną działalnością przedsiębiorstwa, musimy go więc wszyscy wspólnie wspierać, ażeby się nie zalał... finansowo.

Pan Janusz obrał jednak zupełnie inną drogę do dyrektorskiego serca. Chcąc mieć „do przodu“ u swego szefa, doniósł mu, że za jego plecami ścigają go pracownikowie haracz, rzekomo dla kochanego dyrektora. Pryncypał oburzył się bardzo na tę podłą insynuację, lecz nie zapomniał podziękować panu Januszowi za gorliwość. Przyrzekł mu również odwdziżyć się przy najbliższej okazji odpowiednią premią. No i u-

krócić niecne praktyki kierownika pracowni. Jak się moi inteligentni Czytelnicy domyślają — pan Janusz fatalnie pobił dyrektora. Kierownik pracowni bowiem rzeczywiście zbierał dolę na rzecz dyrektora. Kiedy sprawa się wydała i obaj szefowie zasiędl na ławie oskarżonych, pan Janusz był najbardziej zdziwionym widzem na sali sądowej.

Kierownik pracowni w następujący sposób lagodził przed sądem swe winy:

—Owszem, pieniądze zbierałem od projektantów i przekazywałem dyrektorowi, lecz odbywało się to bez jakiegokolwiek przymusu. Po prostu tylko im zaproponowałem, ażeby podzieliли się swą premią z dyrektorem, oni zaraz chętnie się zgodzili. Nikt nie protestował, nikt nie uchylał się, bwnajmniej, wszyscy wyrazili spontaniczną radość, że mogą w ten subtelny spo-

sób podziękować dyrektorowi za jego wkład, za jego wysiłek no i w ogóle za konsultacje. Nikt z tego powodu nie poniósł również żadnych strat. Absolutnie nikt, proszę Wysokiego Sądu. Pieniądże te nie stanowiły straty dla przedsiębiorstwa, gdyż w wypadku zatrudnienia konsultanta otrzymanby on wynagrodzenie z funduszu płac pracowni. Również i projektanci nie ponieśli szkody, gdyż sumy pieniężne nie były potrącone z należnych im premii, lecz dopisywane były do poszczególnych nazwisk z rezerwy funduszu premiewego, iaka pozostała — po rozdzieleniu premii projektantów na różnego rodzaju wydatki osobowe, związane z działalnością pracowni. Uff!!!

Posłuchajmy teraz, co mówili projekanci. Wysoki Sad zapytał dlaczego bez wiek-

szego oporu dzielili się oni premią.

— Otóż wniosku o przekazanie pieniędzy dyrektorowi nie traktowaliśmy jako propozycji, lecz jako żądanie — odrzekli projektanci. — Godziliśmy się zaś na wypłacenie (opłacenie?) jedynie dlatego, że obawialiśmy się, iż odmowa może nas narazić na nieorzeczności w postaci zmniejszenia należnych nam premii.

Bardzo przepraszam, co delikatniejszych Czytelników, że wypowiedzi tych osób cytuję w sposób tak brutalny. rzecz można — bez żadnej żenady. Ale usprawiedliwia mnie fakt, że dzieło się to tak dawno, tak bardzo, bardzo dawno temu. Teraz już nie podobno zdarzyć by się w żadnym biurze nie mogło. Stara to historia. Archiwalna.

KAROL BADZIAK

„Don Kichot wyzwolony”

Każda premiera jest ryzykiem. Prapremiera — ryzykiem podwójnym. Zdawali sobie z tego sprawę twórcy scenicznej realizacji sztuki Anatóla Lunaczarskiego: „Don Kichot wyzwolony”. Zaryzykowali i... wygrali!

Pierwszym zaskoczeniem jest nazwisko autora sztuki, który bardziej znany był jako wybitny działacz rewolucyjny, ludowy komisarz oświatowy, krytyk i teoretyk literatury oraz filozof. Mało znany jest jako autor sztuk dramatycznych.

W „Don Kichocie wyzwolonym” występują pewne nawiązania i miejscami nieco rażący współczesnych odbiorców dydaktyzm. Trzeba natomiast uznać za interesujące nowe potraktowanie postaci cervantesowskiego Don Kichota, który jest u Lunaczarskiego nie tylko śmieszny i żalonym „rycerzem smutnego oblicza”. Przypomina swoją postawą jednego z wielu idealizujących socjalistę utopijnego, który w swej najlepszej wierze, chce zawsze czynić dobro, często popełnia czynny szkodliwy, np. uwalniając z więzienia podstępnego, zawziętego wroga rewolucji — Don Mursia. Rewolucjonistów zaś namawiał, aby: „despotyzmowi starego świata przeciwstawiali miłosierdzie nowego”. Ten naiwny idealista, czy może zagubiony inteligent, jakich wielu można było spotkać w Rosji z okresu rewolucyjnego, nie rozumiał zupełnie na czym polegał sens walki rewolucjonistów. Widział w niej jedynie prowadzącą do rozlewu krwi przemoc. Walcząc z wszelką niesprawiedliwością i nieprawością nie potrafił zrozumieć, że dobro i zło nie są pojęciami

absolutnymi, a tam gdzie toczy się walka istnieją zawsze dwie racje, między którymi trzeba wybierać. Autor doceniał dodatnią rolę owych szlachetnych idealistów, ale dopiero wówczas, kiedy: „znajdziemy się już w ziemi obiecanej, gdy zrzucimy okrwawioną, palącą zbroję”, wtedy powiemy ci Don Kichocie — oisze Lunaczarski. — „Pomóż nam stworzyć dobro. Wówczas staniesz się prawdziwym Don Kichotem wyzwolonym”.

Nielatwe zadanie miał Tadeusz Teodorczyk — odtwórca tytułowej roli. Tym cenniejszy jest jego sukces. Aktor bowiem, utrafił we właściwy ton, ukazując wielowarstwowość tej postaci w sposób prosty a równocześnie pełen poetyckiej zadumy. W całej swej naiwności, prostoduszności i bezgranicznej wierze w człowieka był dobry, szlachetny, czasem nawet wzniósł i patetyczny, ale nigdy śmieszny.

Również Kazimierz Jaworski, który potraktował „swego” Sancho Pansę z łącnie plebejskim humorem, lekkością i dowcipem zasłużył na uznanie. Spośród innych ciekawych propozycji aktorskich (w przedstawieniu bierze udział niemal cały zespół), na szczególną uwagę zasługują: Dagmara Foniok jako subtelna, wrażliwa i ujmująca swą delikatną urodą Maria Stella, Włodzisław Tym-palski (znany na ogół z interesujących ról „tragicznych”, jak np. Konrad Wallenrod, czy Zygmunta August), tym razem prowadzący do rozlewu krwi Książę od strony typowo charakterystycznej, szkicując słowem i gestem karykaturę złego władcy — wyrafinowanego cy-

TEATR

nika a zarazem głupawego i bezmyślnego kaboty. Interesującą odczytał Tomasz Karasiński złożoną postać Don Baltazara — pełnego zapалу do walki rewolucjonisty i szlachetnego człowieka. Pamięta się też Henryka Dudzińskiego w roli bezkompromisowego, nieustępliwego kowala Drigo Pasa.

Spektakl ten ogląda się jak bajkę, mówiącą o złym władcy i jego fałszywych doradcach, o prostodusznym czarodzieju Don Kichocie, o dobrej królowie Marii Stellii i szlachetnym Don Baltazarze. A jednak ta nibybajka jest adresowana przede wszystkim dla dorosłych. Zmusza widzów do głębszych refleksji, działa na nich emocjonalnie, powoduje cichy protest przeciw bezmyślnym przejawom przemocy i okrucieństwa oraz jakąś filozoficzną zadumę nad pojęciem dobra i zła.

Reżyser — Jan Perz utrzymał przedstawienie w jednolitej tonacji, nadając mu atmosferę poetyckiej, baśniowej przypowieści. W tym samym tonie była scenografia Zenobiusza Strzeleckiego, zaś zaprojektowane przez niego różnorodne w stylu kostiumy (hiszpańskie, rosyjskie i typowe dla okresu Rewolucji Październikowej) świetnie harmonizowały ze sobą, tworząc bajecznie kolorową całość.

„Don Kichota wyzwolonego” (napisanego również przed 50 laty) Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej wystawił z okazji 60-lecia powstania Kraju Rad. Przypadałoby, że przedstawienie to jest bodajże najbardziej interesującą propozycją spośród dotychczasowych łódzkich premier teatralnych, mających na celu uczczenie i jak doniosłej rocznicy.

MIECZYSLAW WALCZAK

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej. „Don Kichot wyzwolony”. Anatól Lunaczarskiego. Przekład: Eugeniusz Morski. Oprac. dram.: Karol Nowak. Reżyseria: Jan Perz. Scenografia: Zenobiusz Strzelecki. Muzyka: Leszek Orlewicz.

„DIABELSKI ZAWÓD”.

Moda na adaptacje trwa nadal. Nigdy nie miałem nic przeciwko temu, jeśli tą drogą szerokim rzeszom odbiorców prezentuje się, choćby w sposób niedoskonały, najlepsze osiągnięcia literatury. Wątpliwości pojawiają się, gdy mówimy już o konkretnych pozycjach.

Adaptacji powieści amerykańskiego prozaika Russella O'Neila pt. „Diabelski zawód”, nie nazwałbym pomyłką, ale nie sposób nazwać ją dziełem wybitnym. Świat ludzi sztuki, w tym wypadku mamy do czynienia ze środowiskiem teatralnym, zawsze interesował, a niekiedy fascynował zwykłych zjadaczy chleba. Tym



bardziej od tej niewidocznej strony dla ogółu, od strony kulis, mechanizmów tworzenia kariery, niezwykłości i barwności zawodu.

Twierdzenie O'Neila, że zawód aktora wymaga wyrzeczeń, a nawet ofiar i rezygnacji ze szczęścia osobistego, nie jest nowym sportrzeniem. Ale autor pokazuje to nam przekonująco i atrakcyjnie. Udział aktorskiej czołówki przesądził o powodzeniu spektaklu. Znowu możemy, po nie-długim czasie, odnotować

dobrą rolę Ewy Zukowskiej.

W sumie był to spektakl ciekawy i udany, pod warunkiem, że nie będziemy zbyt rygorystycznie oceniać jego zawartości intelektualnej. Warstwa obyczajowa, specyfika środowiska aktorskiego w Stanach Zjednoczonych, (komercjalizacja) górują tu wyraźnie nad ambicjami czysto artystycznymi.

„HOGO FOGO HOMOLKA”. To udana komedia, albo raczej tragicomedia, dalszy ciąg czechosłowackiego filmu „Straszne skutki awarii telewizora”. Część druga, podobnie jak pierwsza, jest celnym obrazem współczesnej drobnomieszczańskiej rodziny, pozbawionej większych ambicji i aspiracji życiowych. Konfrontacja postaw różnych pokoleń Homolków pokazana jest przez reżysera (Jarosław Papoušek) w sposób satyryczny, ale jednocześnie bardzo przekonujący. O scenach oglądanych w „Hogo Fogo...” mówimy, że to samo życie. I tak jest naprawdę, wystarczy się tylko dobrze rozejrzeć. Ilu takich Homolków towarzyszy nam na każdym kroku? Ilu ich w każdym z nas?

„MOJA ULICA”. Tym razem w cyklu „Teatr TV na świecie”, obejrzelśmy widowisko radzieckie wg sztuki Izidora Sztoka. Nie raz w tej rubryce chwaliłem utwory współczesnych radzieckich twórców. I tym razem jest podobnie. Mam tu do czynienia z autentycznymi problemami, z prawdziwymi ludźmi, z ciekawą obserwacją psychologiczną i bezbłędnym aktorstwem.

Z kilku wątków najciekawsze wydały mi się nieuczuciowe kłopoty młodej pary, skromnej dziewczyny i piłkarskiego gwiazdora, lecz przyjaźni między ich rodzicami. Są to starzy robotnicy, pracujący ze sobą od lat, razem chodzą na mecze i piwo. Przyjaźnią się, ale potrafią sobie prawdę mówić w oczy bez osłonek. I przyjaźni ta wytrzymuje próbę, niełatwą, bo w grę wchodził kariera syna i opinia córki. Bezkompromisowość i uczciwość ich ojca pokazana jest jednak w sposób naturalny i przekonujący. Mam pewność, że ten czło-

TV

wiek nie może być inny. Wiemy, że jest zawsze taki sam, na zebraniu, w domu, w fabryce, w chwilach do-brych i złych.

„PORWANIE”. Miał to być dramat sensacyjny, ale ten włoski film od początku pozbawiono zagadki kryminalnej i nietrudno było sobie wyobrazić jak potoczy się dalej cała historia „porwania” syna fabrykanta me-bli. W dodatku całą rzecz utopiono w sztucznym wątku melodramatycznym. Myślę jednak, że była to lepsza rzecz do oglądania niż jakaś kobra — piła, jakie nam się nie raz w czwartkowe wieczory serwuje.

„EXPRESS”. Ostatni miał już numer 17. Ta pozycja zdobyła już sobie uznanie i popularność. Recenzenci zgodnym chórem podkreślają kolejne udane realizacje, a szczególnie rozmówki pary podróżnych Jerzego Dobrowolskiego i Wojciecha Poko-ry. Sam również przywitałem ten program życzliwie. Jednak po każdym kolejnym ekspresie mój entuzjazm maleje, bo jak mi się wydaje autorzy tekstów zaczynają się powtarzać, ciągnąc trochę na siłę, powielać samych siebie. To oczywiście normalne kłopoty produkcji seryjnych. Myślę, że zarówno reżyser Wo-wo Bielicki, jak współpracy-cujący z nim autorzy tekstów i cała grupa realizatorska powinna dobrze roz-ważać, żeby w odpowiednim miejscu i czasie wystąpić z tego pociągu. Tak jak zrobi-li to kiedyś Przybora i Wa-sowski z „Kabaretem Star-szych Panów”. I dlatego ich dobrze wspominamy, nie zdążyli nas znużyć.

JAROSŁAW TARNO



FILM

POLICJANCI I GANGSTERZY

Najbardziej „amerykański” z francuskich reżyserów — tak określa się Henri Verneuil'a i sądzić należy, że nie tylko dlatego, iż ratuje w sposób niezawodny nadwątlone budżety producentów, po prostu umie robić filmy à la manière americaine, co jak wiemy w przypadku tzw. dobrej kinowej roboty liczy się wysoko. „KLAN SYCYLIJCZYKÓW”, który we Francji w ciągu dwóch miesięcy(!) obejrzało dwa i pół miliona widzów, potwierdza wyżej przedstawioną opinię. Gdyby nie napisy w czołówce filmu, można by sądzić, że taki film potrafią zrobić tylko Amerykanie z ich bezprzykładną umiętnością filmowego opowiadania, wykorzystania filmowej techniki i zaangażowania środków finansowych — bo taki film kosztuje, ale i procentuje.

Verneuil przyjął jedną zasadę — w filmie, który ma kupić publiczność, nie ma rzeczy błahych, jeśli to nawet tylko przygodowa, kryminalna czy gangster-

ska opowieść, trzeba ją w realizacji traktować niezwykle poważnie. Zatrudnił więc sztab fachowców od rzeczy najrozmaitszych, a których suma dać musi efekt znakomitości. Biorąc się więc za adaptację powieści, zatrudnia ludzi, którzy „umieją się w to bawić”, wspiera się jeszcze panami, którzy pomogą opracować dialogi. Zapewnia sobie współpracę znakomitego operatora (Henri Decae był współtwórcą sukcesów francuskiej „nowej fali”, pracował z Mallem, Chabrolem, Truffautem) i kompozytora (Ennio Morricone już wielokrotnie po-dziwialiśmy). Verneuil pamięta też, iż „kino gwiazd” jest nadal głównym atutem filmowego sukcesu, proponuje więc rolę tym, którzy sukces ten mu zapewnią — nazwiska Jean Gabina, Lino Ventury, Alain Delona i Amadea Nazzari skuszą każdego. Zapewniwszy sobie wszystkie te gwarancje Verneuil przystąpił do pracy. Jej efekt możemy podziwiać dziś i my. Powstał

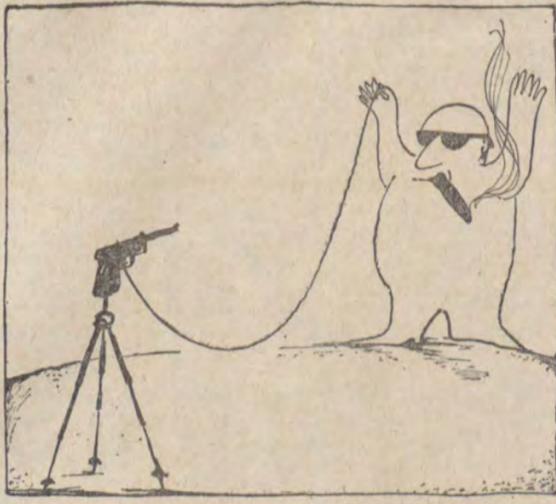
film bez jednego pustego miejsca, bez jednej chwili zawieszenia akcji na kółku, bez jednego zbędnego słowa, film znakomitego aktorstwa.

Żelazna dyscyplina dramaturgii „Klanu Sycylijskich” jest niewątpliwie tym, co w spokojnej, racjonalizowanej analizie podziwiać trzeba najbardziej. W trakcie toczących się zdarzeń myślenie oczywiście o tym nie sposób, poddajemy się bowiem emocjom w sposób zupełny i właściwie niepostrzeżenie dajemy się wciągnąć w grę moralnie nieco dwuznaczną. Zrobił bowiem Verneuil film bardzo cyniczny i nie to, że zgodnie z prawami gatunku sprawiedliwości stać się musi w finale filmu żadość. Z tą sprawiedliwością zresztą też babcia na dwoje wróżyła — gangsterski łup znajdzie przecież spadkobiercę właśnie w tym, który w tak nieoczekiwany sposób rozsądził całą precyzyjnie zorganizowaną akcję rabunkową (za sam pomysł tego nieoczekiwanego kra-chu warto by komuś przy-

znać Oscara). Nie da się również ukryć, że układ stosunków i sił moralnych po obu stronach barykady, a więc zbrodni i sprawiedliwości, jest w filmie Verneuil'a dwuznaczny. Działanie sił reprezentujących sprawiedliwość jest w swych metodach identyczne jak tych, przeciw którym występują. Trzeba może uznać, że gangsterstwo zwalczyć można tylko gangsterstwem, taki układ stosunków widzimy bowiem w „Klanie Sycylijskich” nie po raz pierwszy, przypominamy z niedawnych filmów choćby tylko „Bullitta”, czy „Bez wyraźnych motywów”. W „Klanie” uderza to może szczególnie, gdyż gangster Jean Gabina obnosi swą godność patriarchy rodu z dostojnym, na jakie stać tylko tego aktora, a inspektor policji Lino Ventury swe oblicze czy duszę człowieka administracyjnie usankcjonowanej przemocy eksponuje z perfekcją, którą aktor ten nie raz już demonstrował.

Zostawmy jednak dwuznaczności moralne „Klanu Sycylijskich” w spokoju, myśląc nie w zaskodzą, wręcz przeciwnie, a tym, co myśleć nie lubią i tak zwycięstwo sprawiedliwości zostało dane. Nim do niego dochodzi, przeżyć możemy emocje, które doprowadzają nas do stanu, w którym doprawdy sami już nie wiemy, czy życzyć gangsterom, by im się ich wielki „skok” udał, czy nie cieszymy się z ich długiego pas-

ma sukcesów, bo dzięki temu tylko dano nam uczestniczyć w tym zaleśnięciu ludzkiej inicjatywy, która gdzieś tam zrodzona z żądzy pieniędzy (jakich!) nam



daje jeszcze emocji, tak pono niezbędne dla naszego zdrowia psychicznego. Nie ma chyba na sali kinowej nikogo, kto by nie trzymał palce życząc, by wielki „Boeing” z gangsterami na pokładzie wylądował pomyślnie na amerykańskiej autostradzie — potem niech już sobie sprawiedliwość wkracza na arenę.

Te dziś nieco niemoralne zwierzenia chciałabym zakończyć opinią dyrygenta

tych wszystkich emocji, pa-na Henri Verneuil'a:

„Wszyscy lubią dobrze opowiedziane historie. Atrakcyjna fabuła musi być na ekranie również atrakcyj-

nie opowiedziana. Myślę, że wiem jak, w którym miejscu i pod jakim kątem ustawić moją kamerę, aby historię, którą przenoszę na ekran, nasycić maksymalnie prawdą życia. Maksimum danej sceny może wydobyć jedynie dobry technik...”

Ot i wszystko. Jak mało, dla jednego, jak nieprawdopodobnie dużo dla innych.

EWA NURCZYŃSKA

JESZCZE O KRYTYCE ARTYSTYCZNEJ

„Krytyk musi być przede wszystkim kimś, musi do czegoś dążyć, czegoś pragnąć, musi czuć się silną oddziaływającą na świat ducha ludzkiego, pragnącą mu nadać pewien kierunek”.

STANISŁAW BRZOWSKI

Łódzką krytykę artystyczną śledzę od wielu lat z dużym zainteresowaniem, nie tylko jako odbiorca sztuki, lecz także jako nauczyciel akademicki, pracujący w środowisku młodzieży szkół artystycznych. Młodzież ta, z uwagi na przyszłą pracę w dziedzinie sztuki, szczególnie żywo interesuje się krytyką artystyczną i niejednokrotnie podnosi potrzebę istnienia krytyki bardziej wnikliwej i wieloaspektowej, krytyki twórczej.

W tym odczuciu młodzież oczywiście nie jest odosobniona. Pragnę bowiem przypomnieć tocząca się niedawno dyskusję nad Wytzycznymi na VI Zjazd PZPR, w toku której środowiska twórcze Łodzi podniosły konieczność stworzenia autentycznej, ambitnej krytyki, jako niezbędnego warunku dalszego dynamicznego rozwoju twórczości artystycznej. Postulat ten ciągle czeka na urzeczywistnienie.

Nie podzielam zdania osób, utrzymujących, że łamy naszej prasy, w tym gazety, nie są godnym miejscem do uprawiania ambitnej krytyki artystycznej. Oczywiście, zarysowująca się dość wyraźnie swego czasu perspektywa powoła-

nia do życia miesięcznika kulturalnego, polepszyłaby znacznie dotychczasowe możliwości publikacji.

Wracając do problemu dotychczasowego oblicza łódzkiej krytyki artystycznej, chcę wyrazić pogląd, że nie była ona zawsze nie-dobra. Poziom jej był nierówny i w nierównym stopniu obsługiwała poszczególne dziedziny twórczości artystycznej.

Sprawą niezwykle ważną i pilną jest w moim odczuciu uaktywnienie krytyki plastycznej, tym bardziej, że łódzkie środowisko artystów plastyków jest i bardzo liczne i bardzo aktywne. W dziedzinie sztuk plastycznych obserwujemy obecnie mnogość i różnorodność wypowiedzi i działań artystycznych, z odczytaniem których mało przygotowany odbiorca nie zawsze sobie w pełni radzi. Napotykając zaś na trudności w owym odczytywaniu, może z biegiem czasu ulec zniechęceniu i zobojętnieniu wobec dalszych zjawisk w sztuce.

Sądzą, że w Łodzi są pełne szanse na ożywienie krytyki plastycznej, chociażby z uwagi na istnienie Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, która skupia teoretyków i twórców, którzy i mogą i na pewno zechcą zająć się także krytyką. Zresztą, niektórzy z nich już się nią z powodzeniem zajmowali. Wydaje mi się także, że działalności PWSSP i pozostałych łódzkich uczelni artystycznych nasza prasa winna systematycznie poświęcać nieco więcej uwagi i wyjść poza skądinąd pożyteczną formę okolicznościowych wywiadów z kierownictwem uczelni.

Widzę wielki pożytek w przypominaniu, także w łódzkim środowisku, znakomych myśli naszych krytyków i twórców, którzy krytyce artystycznej stawiali duże wymagania, ale i wskazywali na jej wysoką rangę. Byłoby dobrze, gdyby łódzcy twórcy i krytycy pamiętali na co dzień o pięknych tradycjach polskiej krytyki artystycznej, o krytykach, których poglądy, zrodzone niekiedy w czasach od nas odległych, nie straciły nic ze swej aktualności, gdyż powstały z zaangażowania autorów po stronie postępu. Mam tu na myśli przede wszystkim Stanisława Witkiewicza i Stanisława Brzozowskiego. Na nazwiska te zwróciłam uwagę nie przypadkowo. Iu bowiem jest dziś krytyków, którzy nie tylko tak kompetentnie, ale i tak odważnie pisaliby o sztuce, jak Stanisław Witkiewicz? Jedną ze słabości naszej krytyki upatruję właśnie w jej zbytnej „grzeczności” wobec twórców i odtwórców dzieł, w lęku przed narażeniem się tymże.

Nie chodzi mi o nawoływanie do uprawiania krytyki złośliwej wobec twórców, ale o prawo krytyka do krytyki dzieła, nie zaś do ugrzecznionej, beznamiętnej informacji, czy wręcz reklamy. Byliśmy w Łodzi nie raz świadkami obrażania się twórców na krytyków, niekiedy w miarę uzasadnionego, niekiedy całkowicie bezzasadnego. Byłoby dobrze, gdyby twórcy przyjmowali krytyczne recenzje tak, jak należy, tzn. jako dyskusję z ich poglądami, nie zaś jako szarganie świętości, czyli ich świata kreacji i ich samych. Przed kilkoma laty Tadeusz Kantor, otwierając w Galerii „Krzysztofor” dyskusję o krytyce artystycznej, powiedział m. in.:

„Krytyk powinien być zaangażowany w to, co robi. Krytyk powinien być zaangażowany w artystę”.

Pogląd taki jest głęboko niesłuszny. Wyznacza on bowiem krytyce rolę służebną, marginesową i to nie w stosunku do dzieł sztuki, lecz do artysty.

Pogląd ten zbyt często, moim zdaniem, podzielają w pewnej mierze inni. A

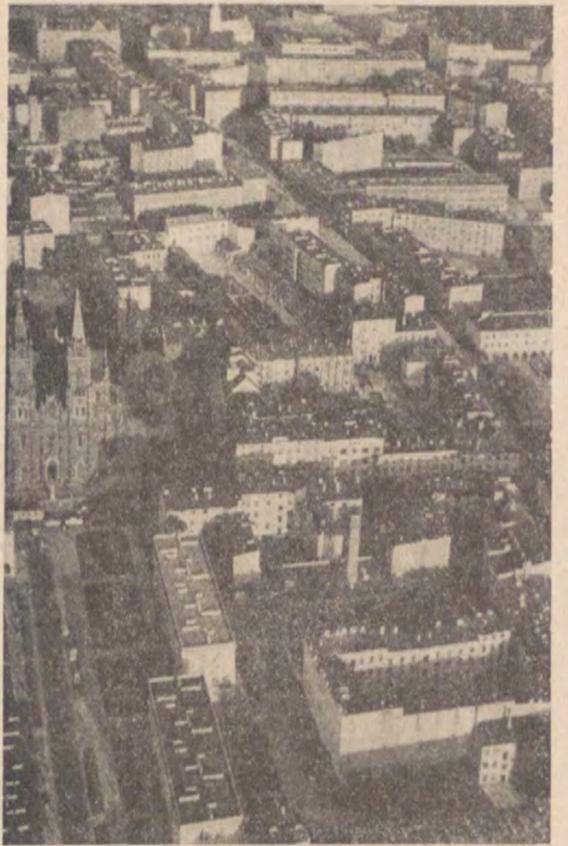
to na pewno nie ułatwia uprawiania działalności krytycznej. Krytyk oczywiście musi być zaangażowany w to, co robi, ale nie w twórcę, lecz w gotowy produkt jego pracy, w dzieło artystyczne, które zaczyna żyć samodzielnym życiem. To właśnie dzieło artystyczne wyznacza krytykowi zakres możliwości i swobody interpretacyjnej. Mówiąc innymi słowami, artysta niewątpliwie określa krytykom granice możliwości poruszania się w temacie, ale tylko poprzez swoje dzieło. Poprzez zawarte w nim bogactwo treści, idei oraz możliwości i skalę estetycznych doznań.

Pisząc krytycznie o utworze, pisze się oczywiście krytycznie o jego twórcy, o jego światopoglądzie, o jego hierarchii wartości, bowiem „typ. styl twórczości każdego artysty jest uwarunkowany przez stosunek, w jakim życie jego rzeczywistości pozostaje do jego wartości” — jak pisał St. Brzozowski. Dlatego krytyka winna być obiektywna. O ile „...subiektywizm oznacza w zasadzie bierne poddanie się temu, co przynosi fluktuacja wrażeń”, o tyle „obiektywizm... jest metodą społecznie wartościowego zużytkowania swych wrażeń, odczuć itd. subiektywnych”.

„Szuka nasza jest zawsze sądem naszym nad życiem, wyrokiem potępienia lub uniesieniem zachwyty. Ukazuje ona nam ten świat do jakiego należymy. Stosunek widza, czytelnika itp. do dzieła sztuki jest zasadniczo stosunkiem tego samego typu. Poprzez dzieła sztuki i sądy o nich ustalają się najszerze, najgłębsze, najbardziej istotne, najmniej przypadkowe stosunki pomiędzy ludźmi. Przez to zostaje już określone zadanie krytyki. Dprowadza ona te stosunki do świadomości, systematyzuje je i pogłębia. Sztuka każdej epoki mówi nam, co dzieje się w niej z człowiekiem i jego istotą najgłębszą. Krytyka winna te dzieła odczytać”.

Przypomniłem tych ciągle aktualnych poglądów Stanisława Brzozowskiego chciałabym zamknąć wyżej zamieszczone refleksje na temat naszej krytyki artystycznej, które nie roszczą sobie prawa do wyczerpania problemu, lecz są po prostu jeszcze jednym głosem w dyskusji.

JADWIGA ŁUŻYŃSKA-DOROBOWA



Łódź — Stare Miasto. Fot. K. Turowski

ŁODZIANIE 1972 (KUPON PLEBISCYTOWY)

| | |
|--------------------------|-------|
| 1. Leon Gomolicki | |
| 2. Paweł Kowalski | |
| 3. Zofia Mitkiewicz | |
| 4. Leszek Różga | |
| 5. Stefania Skwarczyńska | |
| 6. Bogusław Sochnacki | |
| 7. Ryszard Stanisławski | |
| 8. Jerzy Werner | |
| 9. Zdzisław Wyrzykowski | |
| 10. Aleksander Zwierko | |
| Nazwisko i imię | |
| Adres | |
| Zawód | |

CZYTAŁIŚCIE LAUTRÉAMONTA?

„Wy, którzy patrzycie na mnie, odstąpiecie ode mnie, oddech mój bowiem tchnie zatrutym wyziewem. Nikt nie widział jeszcze zielonych zmarszczek mego czoła ni kości sterzających szczerpę twarzy mojej, podobnych do osi wielkiej ryby lub raf pokrywających morze, lub do spadzistych szczytów alpejskich, które przebiegałem często, gdy nad czołem wicherzyły się włosy innego koloru. A kiedy skradam się wokół domostw ludzkich, w czas nocy burzliwych, czy w ogniu, włosy biczowane podmuchem nawalnym, odosobniony jak kamień pośrodku gościńca, odkrywam skalane oblicze strzępem aksamitu czarnym jak sadza, która osadza się w wnętrzu kominów: nieczyje oczy nie powinny być światłem szpetoty, którą najwyższa Istność napiętnowała mnie z uśmiechem potężnej nienawiści”.

Jest to fragment w tłumaczeniu S. Napierskiego „Pieśni Maldorora”. Autor gdy je pisał miał siedemnaście lat. Gdy miał dwadzieścia cztery — zmarł. Utwory swoje podpisywał „Hrabia de Lautréamont”. Jego żywotny jest do dziś nie znany. Nie był żadnym hrabią i nie nazywał się Lautréamont. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Isidore-Lucien Ducasse i był synem wysokiego francuskiego urzędnika konsularnego w Urugwaju. Urodził się w roku 1846 w Montevideo. Kiedy Isidore Ducasse poróżnił się z ojcem został wysłany do Francji. W Tarbes chodził do liceum, później, ze względu na swe zainteresowania naukami ścisłymi, przenosi się do Paryża w roku 1867, by studiować w Szkole Politechnicznej.

Zamknięty w sobie, stronił od ludzi i dlatego nie są znane jego paryskie losy przynajmniej

w początkowym okresie pobytu w tym mieście. W roku 1869 Ducasse publikuje za własne pieniądze pierwszą pieśń obszernego poematu pt. „Les Chants de Maldoror” (Pieśni Maldorora). Dzięki temu to głównie utworowi uchodzi dziś Lautréamont (pseudonim zapożyczony z niemal identycznie brzmiącego „Lautréamont” tytułu powieści Eugeniusza Sue’a z jednego z najbardziej ponurych proroków zagłady, niewiary i rozpacz. „Pieśni Maldorora” zaś uważane są niemal przez wszystkich historyków i badaczy literatury za jedno z najbardziej tajemniczych, posepnych i pesymistycznych dzieł w całej literaturze, jeśli nie światowej to z pewnością we francuskiej.

Charakterystyczne, że dzieło Lautréamonta nie wywołało początkowo żadnego odzewu. Nie zwróciło na siebie nieczyjej uwagi. Pozostało nieczytane. W roku 1870 Lautréamont ogłasza „Poezje: wstęp do przyszłej księgi”. Już na początku tej nowej książki autor obrzuca romantyków najjadliwszymi epitetami, ale co dziwne, w dziele tym ujawnia nagły optymizm i krytycznie odnosi do swych „Pieśni Maldorora”. I tego drugiego utworu nie zauważają ani czytelnicy, ani krytycy. Lautréamont, jakby się mogło wydawać, skazany zostaje na zapomnienie. Dopiero pod koniec XIX wieku pisarz L. Bloy „odkrywa” „Pieśni Maldorora” traktując

je jako wytwór szaleńca skłóconego ze światem i Bogiem, i oto nagle Apollinaire występuje z zachwytem na cześć Lautréamonta, dopatruje się w poemacie tajemniczych i głębokich treści. W czterdziści lat po śmierci autora „Pieśni Maldorora” wybuchła niemal powszechny entuzjazm dla owego ponurego dzieła, a surrealiści pasują Lautréamonta na swego proroka i prekursora, stawiając go niemal na równi z Rimbaudem. Zachwyty nad Lautréamontem trwa i dopiero dziś ponad sto lat po ukazaniu się dzieła Lautréamonta pojawia się w Paryżu praca pt. „Autobionaut Lautréamont” (Czy czytaliście Lautréamonta?). Autorem książki jest pracownik naukowy uniwersytetu paryskiego Robert Faurisson. Czy czytaliście Lautréamonta? — zapytuje Faurisson. Przeczytajcie go nareszcie. Bo, zdaje się, że podziwianie „Pieśni Maldorora”, dopatrujące się w nich jakichś nadzwyczajnych głębi, ale albo nie czytaliście dzieł Lautréamonta w całości, znając je jedynie z fragmentów, lub nie czytaliście uważnie. Przeczytajcie! A przekonacie się, że Lautréamont po prostu sobie kpił. Z czego? Kpił z napuszonych wielkości literackich i naukowych z egzaltowanej poezji. Bawił się i szydził, a wy tę zabawę sielodemnatologia potraktowaliście na serio. Ci, którzy znali osobliście Isidora Ducasse’a stwierdzali, że już będąc w szkole ów

utalentowany uczeń odznaczał się m. in. dużą skłonnością do szyderstw, satyry, a nawet złośliwości. Proszę, przeczytajcie Lautréamonta! Czy czytaliście Lautréamonta?

„Sto lat” — wola Faurisson. „Sto lat. Przez cały wiek dzieło Isidora Ducasse’a fascynowało wielu najwybitniejszych ludzi literatury, krytyki, nauki tak w samej Francji jak i poza jej granicami”.

Iluż to ludzi o znanych nazwiskach padło ofiarą tego nieporozumienia, dało się na to nabrać. Faurisson wymienia sporą listę nazwisk uczonych i pisarzy, którzy według niego wzięli ironię poważnie, żart na serio, szyderstwo za głęboką tajemnicę. Tyle Faurisson.

Ale oto ostatnio w dodatku poświęconym literaturze dziennika „Le Figaro” zabiera na ten temat głos Claude Jannoud. Lautréamont kpił, szydził, żartował, bawił się? Być może. Jest nawet bardzo prawdopodobnym, że taki był właśnie jego zamiar. Robert Faurisson solidnie i starannie nas o tym przekonuje. I cóż z tego? Robert Faurisson — zdaniem Jannouda — zdaje się zapominać o tym, że zamiar twórcy kończy się wraz z napisaniem przez niego dzieła. Z chwila gdy dzieło to zostaje opublikowane, autor

przestaje już nad nim panować. Teraz to już czytelnicy dokonują powtórnego narodzin dzieła. Być może, że Lautréamont był tylko chłodnym mistyfikatorem. Ale dzieło nie jest nieraz tym czym miało być w założeniu jego twórcy, lecz tym czym jest dla czytelników. Czyż w literaturze nie mamy na to dość wyraznych przykładów? Czy nie zdarza się, że np. jakiś autor czy autorzy piszą zabawne opowiadki dla dzieci, a potem dzieła owe stają się lekturą bardziej dla dorosłych niż dla dzieci. Czyż właśnie nie tak stało się z książkami Swifta czy Lewis Carrolla? Tak więc spór o inne spojrzenie na dzieła Lautréamonta trwa.

I choć Robert Faurisson być może ma rację twierdząc, że twórczość Isidore’a Ducasse’a, hrabiego de Lautréamont w założeniu swym była parodią i kpiną, rację ma także Jannoud twierdząc, że dzieło jest tym czym jest dla czytelników i że, jak wiemy, w różnych okresach czasu może być każdorazowo zupełnie czym innym i inne w nim treści znajdować będą odbiorcy.

Niezależnie od tego czym miały być „Pieśni Maldorora” i „Poezje” Lautréamonta, dzieła te, a zwłaszcza „Pieśni” wywarły przemożny wpływ na rozwój francuskiej literatury, a zwłaszcza poezji.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZECZYNNOŚĆ

PAMIĘĆ I LUDZIE

Potrzeba historii dla współczesnego człowieka, tak zdawałoby się mało dostrzegalna w czasach stabilizacji i wówczas jakże często kwestionowana, uwidacznia się z całą mocą w sytuacjach dramatycznych, w okresach kiedy normalny bieg życia społecznego zakłóciły wydarzenia wyjątkowe, kiedy stary świat stanął w ruinie, a to, jaki będzie nowy, jest kwestią przyszłości. Czytam obszerną, niewydaną jeszcze pracę o przewartościowaniach polskiego myślenia historycznego, jakie dokonywały się w dobie okupacji i przypominam sobie niedawno ogłoszony tekst — relację zmarłego w 1965 r. profesora Mieczysława Michałowicza z jego pobytu w obozie w Gross-Rosen na przełomie 1944 i 1945 r. Opowieść to wstrząsająca swoim autentyzmem i głębią myśli: daje wymowne świadectwo czym dla więźniów, z których większość nie miała doczekać wyzwolenia, w tej tragicznej porze była, historia.

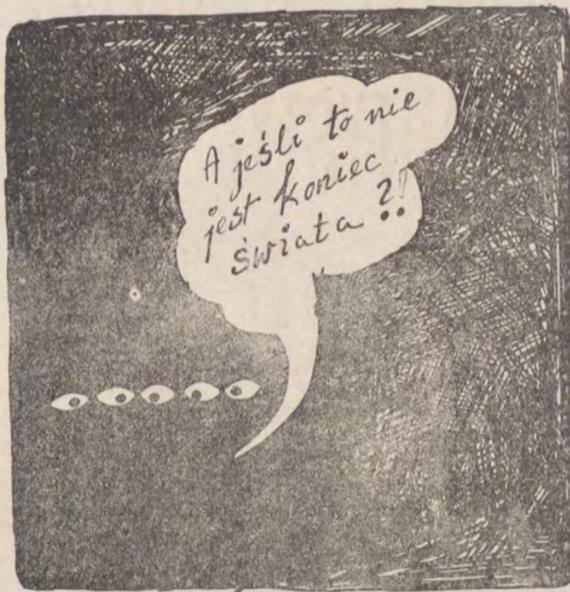
Typowa obozowa sceneria. Po pracy więźniowie zasywają się w najgłębszy zakątek baraku. Jedyne chwile życia towarzyskiego. „W kąciku Marceliego nie plotkowano. W jego kąciku ukrywała się jedna z komórek tajnego uniwersytetu obozowego. W tym kąciku Marceli wykladał historię. W tym kąciku słuchacze nie słuchali swego nauczyciela, lecz przeżywali dosłownie wraz z nim każde jego słowo, przeżywali dzieje swego narodu i dzieje ludów”.
W obawie przed niespodziewanymi nalotami komenda obozu podłączyła megafony do odbornika radiowego: co sobotę rozgłoszono wrocławską nadaje programy, ilustrowane fragmentami utworów wielkich niemieckich twórców. Więźniowie wysłuchali już audycji o J. S. Bachu, G. F. Haendlu, J. Haydnie, W. A. Mozarcie, L. van Beethovie, C. M. Weberze: ci, którzy się nimi interesowali, oczekują kolejnego programu o R. Wagnerze. Ale tej audycji już nie było: kilka dni

wcześniej nastąpiło wielkie bombardowanie Wrocławia. Więźniowie tłoczyli się w sieniach baraków. Wpatrywali się w rozjaśnione błyskawicami niebo, nasłuchiwali grzmotu bomb spadających na odległy o kilkadziesiąt kilometrów Wrocław. Nikt nie rozmawiał, słowa zdawały się zbyt odporne dla wyrażenia obudzonych myśli, uczuć i nadziei.
Następnego wieczoru po apelu — snuje swą opowieść M. Michałowicz: „nie mogłem sobie odmówić przyjemności i wstąpiłem do baraku Marceliego. Grono tajnego uniwersytetu było dziś wyjątkowo liczne. Zresztą nikt nie ukrywał się już z niczym. Wszędzie było pełno więźniów gestykujących i rozprawiających ze sobą. Wykład Marceliego był poświęcony tego wieczoru ogłoszeniu Cesarstwa Niemieckiego w r. 1871 po wojnie prusko-francuskiej. Oczy mówcy i oczy słuchaczy błyszczały.
O wznoszonym przez Bismarcka i przez Wilhelma I gmachu Imperium Niemieckiego przemawiała do nas tradycja dnia wczorajszego. O rozsypaniu się w gruzy tego gmachu Imperium, przemawiała do nas — nocy dzisiejszej — błyski ognia i brzmienie jeszcze w uszach naszych biurony wybuchów. Słowa Marceliego brzmiały stłumioną potęgą. Mówca nie potrzebował wysilać głosu: potężna prawda historii przemawiała jego ustami”.
I wtedy nikomu chyba nie przychodziło do głowy mó-

wić o nieprzydatności historii. Nie tylko budziła ona wiarę w lepsze jutro, ale pomagała zrozumieć zmieniającą się z dnia na dzień teraźniejszość, pozwalała snuć rokowania co do najbliższej i dalszej przyszłości. Okupacyjna sytuacja aktualizowała poglądy przeszłości przez pryzmat doświadczeń dnia dzisiejszego, owo — jak powiadają socjologowie — „praktyczne” spojrzenie na dzieje, od którego nawet gdyby ktoś chciał, uwolnić się wówczas nie mógł.
Przytoczyłem tu słowa M. Michałowicza nie tylko z powodu, że właśnie on był ich autorem, chociaż już ten wzgląd wystarczyłby dla zwrócenia na nie uwagi. Wybitny przedstawiciel polskiej postępowej inteligencji, czelny inicjator i założyciel Klubu Demokratycznego w Warszawie w 1937 r., następnie zaś uformowanego tuż przed wojną Stronnictwa Demokratycznego, przedwojenny senator Rzeczypospolitej, później w Polsce Ludowej poseł do Krajowej Rady Narodowej i poseł na Sejm, odznaczony dwukrotnie Orderem Sztandaru Pracy I Klasy, jest postacią, koło której przejść nie można obojętnie. Dobrze się więc stało, że wydawnictwo „Epoka” dwutomową publikacją „Mieczysław Michałowicz: Człowiek — Działacz — Polityk” (1972) rozpoczęło nową serię wydawniczą, poświęconą sylwetkom wybitnych działaczy demokratycznych. Pamięć o ludziach jest nie-

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



zbędnym elementem samowiedzy historycznej narodu i nie jest sytuacją normalną, kiedy się jej nie pielęgnuje. Ale przytoczone tu słowa M. Michałowicza zasługują na uwagę także i z tego względu, że świadczą o ostatnich chwilach życia je- go przyjaciela, wielkiego historyka, jednego z największych, jakich nauka polska wydała w naszym stuleciu — Marceliego Handelsmana. Wielki uczyony, profesor

Uniwersytetu Warszawskiego, twórca szkoły naukowej, której przedstawiciele będą już w niedalekiej przyszłości współtwórcami rozwoju nauki historycznej w Polsce Ludowej, jest na pewno postacią, która zasługuje na pamięć, i na podobną publikację. Dobrze by było, aby można ją było ogłosić na trzydziestolecie jego tragicznej śmierci.

LEKTOR

Zdarzeni A. I. Zwierzeni A

SERIAL P.T.

„Antykolumbowie”

Zakończyła się wreszcie w „Kulturze” dyskusja na temat prozy tzw. „pokolenia Antykolumbów”. Rozpoczął się ten krytyczno-literacki serial artykułem Antoniego Chojnackiego, który prozę „Antykolumbów” osądził surowo i bezwzględnie — zakończył się serial także artykułem Antoniego Chojnackiego.
Między tymi dwoma wystąpieniami głos zabierali w „Kulturze” m. in. Andrzej Twardochlib, Piotr Wojciechowski, Bohdan Zadura, czyli pisarze znani, legitymujący się literackim dorobkiem, często bardzo poważnym.

Bieda tylko w tym, że nie wiadomo dokładnie, kim jest Antoni Chojnacki. I to mi trochę rozbija konstrukcję owego serialu. Dla czytającej publiczności nie są obecne nazwiska Tadeusza Nowaka, Edwarda Stachury, Wiesława Myśliwskiego, Andrzeja Twardochliba, Janusza Głowackiego, Piotra Wojciechowskiego... Zdażyli się oni zapisać we współczesnej literaturze znaczącymi, a nieraz i bardzo głośnymi książkami. Chciałbym więc wiedzieć, kim jest Antoni Chojnacki — surowy Kato, który twierdzi, że żadnego z pisarzy tu wymienionych nie można porównać z pisa-

rzami Dwudziestolecia Międzwojennego.
W obawie, że przeoczyłem gdzieś to nazwisko krytyka, sięgnąłem do najnowszego „Rocznika Literackiego 1970”, zawierającego przecież rejestr literackiej działalności. Nazwisko Antoniego Chojnackiego znalazłem tam raz jeden na stronie 72, jako autora jednej recenzji. Była to recenzja z książki Teodora Parnickiego, wydrukowana na łamach „Współczesności”, a więc pisma pokolenia „Antykolumbów”. W tym czasie, kiedy chłostał przez Chojnackiego pisarza, wydawali swoje głośne książki, surowy Kato zamykał swoją roczną działalność literacką jedną recenzją.
W roku 1972 sytuacja ta się nie powtórzy. Chojnacki wszedł na giełdę.
Wszedł co prawda w sposób demagogiczny i dość taniutki. Bo oto pisze Chojnacki w swoim podsumowaniu „Kulturze”, wystąpieniu, którym udowadnia jak wiele rzeczy nie chce zrozumieć. Cytuje: „Deformowanie historii jeszcze żadnemu pisarzowi nie wyszło na zdrowie (...) A przykładów deformowania faktów histo-

rycznych lub ich pomijania — co ma wpływ na charakter syntezy — spotkać można wiele”.
Święte słowa, tylko...
Deformację historii znaleźć można np. we „Wrześniu” J. Putramenta, lecz wynika ona z tendencji szerszych niż literackie. Podobnie rzecz się ma np. z „Władzą” Tadeusza Konwickiego, gdzie deformacje są nie tyle sprawione kreacją pisarza, co ogólniejszymi tendencjami, jakie wówczas panowały.
Daję przykłady jaskrawe i stare, ale przecież rzecz się w końcu w jakiś sposób powtarza i później. Określone niemożności i tendencje kształtowały taki a nie inny obraz literatury — prozy szczególnie. Tak zwany „mały realizm”, gromiony potem przez mądrych po szkodzi krytyków, zrodził przecież określony czas.
Chojnacki ze zdziwieniem pisze, że „jedyne obraz okupacji jest wynikiem głębokiej i wszechstronnej analizy. (...) Powojenny okres natomiast został przedstawiony nader powierzchownie”. I znów — święte słowa. Chojnacki ma rację, tylko... Ja się nie dziwię. Powierzchnowe były

„Traktory zdołają wiosnę” z roku 1950, powierzchowna była „Baza ludzi umarłych” z roku 1957... Różny był charakter tych uproszczeń, lecz natura i źródła te same. Wynikały te utwory z pokretnej, skomplikowanej polskiej rzeczywistości. Warto to wiedzieć, gdy się rusza do ataku na literaturę, warto się odważyć powiedzieć to głośno.
Nieznamy krytyk, który stał się znany dzięki serialowi pt. „Antykolumbowie”, ubolewa, że dyskutanci nie potraktowali go poważnie („próbę ośmieszenia, wksławianie dyskusji na boczne tory, groteskowe gesty...”) O w zabawowo - widowiskowy charakter dyskusji z Chojnackim mówi właściwie wszystko o powadze jego zarzutów.
O ironii krytyki literackiej! W tym samym numerze „Kultury” znajduje się felieton Aleksandra Małachowskiego, który sensownością i powagą starca za cały serial Chojnackiego. Pi- sze bowiem Małachowski: „Widzimy literaturę przede wszystkim jako wielkie i sprawne narzędzie do wykonywania naszych z górą wykonanych zadań. Najniechętniej pytamy pisa-

rzy o ich zdanie na ten temat. Ten nadmiar opieki nie byłby sam w sobie zły, gdyby nie okoliczność zmienności opiekunów, którzy po wykonaniu swoich zadań gdzieś się rozplywają w czasie i przestrzeni, zaś na placu boju zostają niezmiennie pisarze, i to ich potem rozlicza się z dokonaniem i niedokonaniem, ich pisanie traci szansę wejścia do historii literatury. Pouczanie młodych, jacy powinni być, jest odwiecznym zajęciem różnego rodzaju krytyków, bo zawód ten wykonują nie tylko piszący w gazetach badacze, ale i znawcy literatury, podejmujący decyzje wydawnicze, tworzący klimat wokół spraw piśmiennictwa. Z ustawicznego pouczania literatura, szczególnie twórczość młodych, nie odnosi żadnego pożytku. Dobrą literaturę otrzymaliśmy od swoich pisarzy ze społeczeństwa, które mniej zajmowały się pouczaniem pisarzy, a wykazywały więcej gotowości do przyjmowania ich dzieł, niezależnie od tego, czy stworzone obrazy tych społeczeństw wydawały się im samym sympatyczne”.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

CZYTAJĄC PRASĘ

Przeczytałem niedawno w „Polityce”, w uczonym kryminologicznym artykule, że notowana ostatnio wysoka liczba gwałtów zbiorowych, rozbojów i przestępstw chuligańskich jest po prostu wynikiem zwiększonego odsetka ludzi młodych w naszym społeczeństwie. Stwierdzenie jest urzekająco proste, bo przecież emeryci nie gwałcą, a i ofiarami nie bywają starszki. Jednakże

niebezpiecznym byłoby dać się ukolysać takim statystycznym argumentem, bo statystyki stwierdzić mogą fakt, ale nie stwierdzą przyczynowych powiązań faktami zależności.
Są liczne kraje na świecie, gdzie odsetek młodzieży w wieku chuligańskim jest znacznie wyższy niż u nas. Czy ktokolwiek stwierdził, że w tych krajach — w Indiach, w Egipcie, w Pakis-

tanie, w całej Afryce — jest odpowiednio wyższa liczba gwałtów na tysiąc, czy na milion mieszkańców? Dopiero po takim stwierdzeniu uwierzyłbyśmy, że przestępczość jest funkcją składu demograficznego ludności; dopiero wtedy szkalibyśmy podniesienie stanu bezpieczeństwa publicznego nie metodami profilaktyki wychowawczej, prewencji, penalizacji, tylko drogą regulacji urodzin. Mamy jednak nadzieję, że nigdy taka sytuacja stwierdzona nie będzie.
Sama młodość nie jest stymulatorem przestępczości i nie jest tak, że czym więcej młodzieży, tym więcej przestępstw. Natomiast faktem jest nie tylko to, że wśród przestępców coraz większy procent stanowią młodociani, lecz również co gorsza to, że wśród młodocianych, bardziej niż w in-

nych grupach, rośnie odsetek typów aspołecznych i wręcz kryminalnych.
Przed rokiem podawała prasa, że w Chicago aresztowano paru młodych ludzi, członków tajnego stowarzyszenia, które miało na celu zakazić niezwykle złośliwymi bakteriami stacje filtrów w tym wielkim mieście i tak sobie, dla draki, wytrucić parę milionów osób. Czy to również można tłumaczyć nadmiarem młodzieży w Stanach, która musi się wyszumieć? Cóż więc zatrują nas reprezentanci wyżu?
Oprócz liczby gwałtów zbiorowych rośnie też liczba zawałów, co 10 lat jest ich w skali całego świata o 25 proc. więcej. Ponieważ zawałom ulegają przeważnie pięćdziesięciolatk — można by znów powiedzieć, że w miarę przesuwania się do minanty demograficznej do liczby pięćdziesiąt — pro-

cent zawałowców będzie wzrastał. Dla ratowania wskaźników można więc albo pracować nad profilaktyką i leczeniem chorób serca, albo nie dopuszczać do liczebności wzrostu odnośnej wiekowej grupy ludnościowej. Marny dowcip, ja wiem, sprawa jest tragiczna. Zalecenia lekarzy, mające zmniejszyć możliwość padnięcia ofiarą zawału, są nielatywne do pogodzenia z ambitnym dążeniem do pełni życia, do której każdy ma prawo. Tyle że tak zwana natura z prawami niezbyt się liczy, a jej własne prawa są zbyt apodyktyczne.
Ba, istnieją obszary niby to kontrolowane przez świadomą działalność ludzką, a stanowiące żalony obraz wielkiej niemocy i zbrodnictwa już parliactwa. Oto czytamy w „Kulturze”, że na jakichś tam szwajcar-

skich kontaktach odkryto nagłe poważne sumy, złożone tam przed dwoma laty na pomoc dla ofiar ówczesnego katastrofalnego trzęsienia ziemi w Peru. Dary w naturze dla tychże ofiar przetrzymano przez cały rok na cie! Ofiary ginęły z głodu, zimna i chorób, dobra wola milionów ludzi starala się jak mogła ulżyć ich doł, a jakieś cholerne przez człowieka przeciw wywołane szlabany, pieczętki, kwity, okólniki psuły wszystko, uderemniały, mnożyły nieszczęście tamtych. Można ze skóry wyleźć, jak się czyta to wszystko.
To co — to może lepiej nie czytać? I dożyć stu trzydziestu lat jak prymitywni pasterze w Kurdystanie?
Ale co to za życie?

CWIEK